

Na szlaku do
Mandalay

Kathleen Korbel

Rozdział 1

Nad wyspą St. Maarten wisiały ciężkie szare chmury. Strugi ulewnego deszczu smagały zamglone zbocza gór o pastelowych odcieniach i stalowosiną powierzchnię oceanu. Dziesiątki zakotwiczonych w porcie żaglówek kołysały się na wodzie jak drzewa podczas zimowej zawieruchy. Kate Manion niezupełnie tak wyobrażała sobie wymarzony dzień w raju.

Przyglądała się tej posępnej scenerii, siedząc w łodzi na środku zatoki i zastanawiając się, nie po raz pierwszy, co właściwie tu robi. Zaledwie czterdzieści osiem godzin wcześniej była jeszcze rozsądną osobą, która pracowała w biurze, zmagając się z komputerem i myśląc o tym, jaki przysmak wyjmie z lodówki na kolację. Teraz znajdowała się w towarzystwie dwudziestu innych przemoczonych potępieńców, którzy podobnie jak ona naiwnie zamierzali spędzić tydzień na morzu, pławiąc się w słońcu i korzystając z życia. Chyba jednak popełniła błąd, pozwalając, by Betty Williams posłała ją na urlop.

- Przygotować się, podpływamy!

Usłyszawszy tę komendę, Kate odwróciła głowę i spojrzała na żaglowiec, który przez najbliższy tydzień miał być jej domem. Musiała chyba stracić rozum. Nigdy w życiu nie płynęła statkiem. Owszem, jeździła na nartach, kąpała się w ogrzewanym basenie, ale ten pomysł zakrawał na szaleństwo.

Zobaczyła strzelające w niebo cztery maszty - potężne czarne słupy, które zdawały się sięgać ołowianych chmur - i pomyślała, że to dopiero jest prawdziwe szaleństwo. Nie dość, że dała się namówić, by spędzić pierwszy od sześciu lat urlop, jak nigdy dotąd, poza Stanami, nie dość, że Betty Williams zdołała ją przekonać do udziału w pełnomorskim rejsie, to miała na dodatek płynąć na pokładzie żaglowca, który

wyglądał jak wierna kopia statku piratów. Był wysoki, miał pełne ożaglowanie, skrzypiące drewniane pokłady i powiewającą na wietrze brytyjską banderę. Usłyszawszy dochodzący z góry głos z charakterystycznym akcentem, zdała sobie sprawę, że ma też angielską załogę.

- Uwaga, łódź się trochę kołysze, więc uważajcie państwo, wchodząc na pokład.

Z pewnością nie jesteśmy już w Kansas, westchnęła w duchu, patrząc nieufnie na uśmiechniętego, czarnoskórego marynarza

- W porządku, teraz pani. Proszę podać mi rękę.

Kate zarzuciła na ramię torbę i energicznie wstała z miejsca. Pierwszy stopień stalowej drabinki miała na wysokości talii, szybko więc zrozumiała, że rzeczywiście sama sobie nie poradzi. Chwyciła marynarza za rękę, postawiła stopę na szczeblu, lecz wtedy łódź odskoczyła nagle od statku. Prawa noga Kate zawisała w powietrzu, a jej dłoń zaczęła ześlizgiwać się z drabinki.

Zacząła już sobie wyobrażać, jak ląduje z bagażem na dnie zatoki, gdy czyjaś ręka chwyciła ją mocno za ramię. Przez dłuższą chwilę tylko ten stalowy uścisk pozwolił jej zachować równowagę. Gdy była już bezpieczna, spojrzała w górę - i omal znów nie ześlizgnęła się z drabinki

Anglik, który ją ocalił, był chyba najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego dotąd spotkała. Pomyślała tak od razu, choć w tym momencie widziała zaledwie jego twarz i rozbawione szare oczy. Miały barwę śniegowych chmur i skrzydeł gołębic. Przyciągały jak magnes, pozwalając zapomnieć o deszczu i chłodzie.

- Wspomnę o panu w pierwszym liście do domu - obiecała drżącym głosem, gdy udało jej się wreszcie postawić bezpiecznie nogę na pokładzie.

Nieznajomy uśmiechnął się szeroko.

- Cała przyjemność po mojej stronie - zapewnił Kate, biorąc od niej torbę. Po chwili puścił jej dłoń i zajął się kolejnym pasażerem.

Inny członek załogi poprowadził Kate dalej, informując pospiesznie o zasadach zaokrętowania i wręczając szklaneczkę z rumem. Słuchała go uprzejmie, wciąż jednak nie mogła zapomnieć oczu swego wybawcy, który pomagał właśnie wchodzić na pokład następnym osobom.

Było to niewiarygodne. Podobne sytuacje widywała jedynie w filmach i śmiała się z takich scen do rozpuku - on na nią spojrzy, dotknie jej dłoni, a ona rumieni się i wie już, że to właśnie ten jedyny i wymarzony, na którego czekała przez całe swoje życie. Teraz jednak tak właśnie się czuła. Mężczyzna, który powitał ją na pokładzie, nie był może aż tak przystojny, by przyprawiać o zawrót głowy, ale wejrzenie jego stalowych oczu podziało na nią w sposób niezwykły.

Popijając ze szklanki aromatyczny rum, patrzyła na niego, próbując określić dokładniej jego wygląd. Wysoki, ale nie za bardzo. Jakieś metr osiemdziesiąt. Bardzo szczupły. Chociaż niezupełnie - musiał mieć muskularne ramiona i silne szerokie dłonie, bowiem nadal czuła ból w miejscu, gdzie ścisnął jej rękę. Nie miał barczystej, trójkątnej sylwetki gracza rugby, przypominał raczej lekkoatletę, szybkiego i odpornego na zmęczenie. Albo pływaką, zwinnego i smukłego. Emanował zdrowiem i energią. Na pewno spędzał wiele czasu na słońcu, którego promienie opaliły mu skórę i rozjaśniły blond włosy. Teraz były mokre, a ponieważ od kilku tygodni wymagały przycięcia, opadały bezładnie na jego czoło i kark. Nosił biały marynarski mundur, ale Kate bez trudu mogła go sobie wyobrazić odzianego w pasiastą koszulkę oraz w wysokie buty pirata. Albo z nożem w zębach, kiedy wdziera się na pokład handlowego statku.

Uśmiechnęła się na tę myśl, stając w kolejce po kolejnego drinka. Dziadek Sean nie byłby zachwycony, że wpadł jej w oko Anglik. Staruszek przewraca się pewnie w grobie z tego powodu. Nie martw się, dziadku, pomyślała, rzucając zawistne spojrzenie o wiele hojniej wyposażonej przez naturę dziewczynie, która stała przed nią. Chyba nie muszę się obawiać, że podczas tego rejsu upatrzy mnie sobie ten jasnowłosy przystojniaczek. Zresztą, stwierdziła, dopijając resztkę rumu, to w końcu tylko tydzień. Od następnego poniedziałku i tak wracam do pracy.

Postanowiła nie zwracać na niego uwagi, jednak on najwyraźniej zwrócił uwagę na nią.

- Pani Elizabeth Williams? - usłyszała, a kiedy podniosła zamyślony wzrok, znów ujrzała przed sobą te same oczy. Chłodne, szare oczy, za sprawą których ponownie ugięły się pod nią kolana. - Nie boli pani ramię? Chyba za mocno panią ścisnąłem?

- Czy jest pan jedynym członkiem załogi? - zapytała bez namysłu, zastanawiając się, jakim cudem znalazł się tak szybko przy stoliku z drinkami.

Uśmiechnął się i dopiero teraz zobaczyła, że jego twarz nie jest gładka, lecz pokryta siecią zmarszczek.

- Jest jeszcze paru marynarzy, którzy mogą służyć pomocą - zapewnił ją. - Ja sprawdzam w tej chwili listę pasażerów, pani Williams.

- Nazywam się Kate Manion - oznajmiła.

- Słucham?

- Elizabeth Williams nie mogła przyjechać, więc odstąpiła mi swoją rezerwację. - I nigdy jej tego nie wybaczę, dodała w myślach ze złością. - Powinna była skontaktować się z waszym biurem, ale widocznie nie zdążyła.

Mężczyzna skinął głową, przebiegając wzrokiem trzymaną w ręce kartkę.

- Być może to zrobiła. Zwykle zajmuje się tymi sprawami księgowy, lecz nasz system komputerowy...

Kate uśmiechnęła się domyślnie.

- Wiem coś o tym.

Mężczyzna spojrział na nią rozbawiony.

- Też miewa pani kłopoty z komputerami?

- Prawie codziennie - odpowiedziała cierpkim uśmiechem. - Nie znoszę komputerów. Gdyby to zależało ode mnie, wszyscy w naszym biurze używaliby gęsich piór i atramentu.

- Ja też nie mam do nich zaufania - odpowiedział uprzejmie, a potem zanotował coś na swojej kartce. - Więc nazywa się pani Manion...

- Tak, Kate Manion. Jeśli zamierza mnie pan wysłać z powrotem na brzeg, poproszę o jeszcze jedną porcję rumu. Potrzebuję znieczulenia, żeby znieść ponownie podróż tą waszą rozchybotaną łodzią.

- Pozwolę pani zostać - zapewnił ją z tajemniczym uśmiechem, wciąż notując coś przy nazwisku Betty. Kate zauważyła, że jest leworęczny, i zdumiała się jeszcze bardziej. Zawsze miała słabość do leworęcznych mężczyzn. - Proszę tylko nikomu o tym nie mówić.

- A jeśli kapitan zapyta, kim jestem? Wyrzucicie mnie do morza.

- Kapitan już o tym wie - odparł i znowu się uśmiechnął. - Proszę się tu podpisać - dodał, podsuwając jej listę. - Jeśli chce pani dostać się do swojego bagażu, to już jest w kabinie. Numer czternaście, od zawietrznej.

- Słucham? - Podniosła wzrok, zanim złożyła podpis.

- Od zawietrznej - powtórzył i wskazał na rękę, w której Kate trzymała pióro. - Po lewej stronie.

Kapitan Jack Whelan po raz kolejny spojrział na zamaszty podpis na liście pasażerów. Kate Manion.

Jasnowłosa kobieta o urzekającej urodzie. Jej twarz, a zwłaszcza głos zupełnie nie pasowały do całej postaci. Dostrzegł to już wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy i ocalił przed ześlizgnięciem się z drabinki do morza. Miała szlachetne, klasyczne rysy i drobną sylwetkę leśnej nimfy. Była szczupła, choć w odpowiednich miejscach ponętnie zaokrąglona. Jej długie włosy miały barwę dojrzałego zboża, opadały swobodnie na ramiona, albo na plecy, kiedy ściągała je z czoła i spinała z tyłu głowy.

Miała też świeżą, mleczną cerę, lekko zadarty nos, delikatne usta i głęboko osadzone niebieskie oczy. Wyglądała słodko i niewinnie, lecz ten jej wygląd kontrastował całkowicie z zachowaniem. Głos miała niski, matowy, mówiła zdecydowanym tonem i z pewnością pozbawiona była kompleksów, przemierzała bowiem pokład szybkimi, pewnymi krokami. Jack Whelan uznał, że ta kobieta nie jest subtelną czarodziejką ani zwiewną nimfą. Była raczej lwicą w owczej skórze.

Teraz wyszła z kabiny i zaczęła zwiedzać cały statek. Nadal stali na kotwicy, a z prawej strony migotały światła Phillipsburgha, nie kołysało więc i po pokładzie można było chodzić w miarę wygodnie. Przestało padać, chmury zaczęły się rozstępować i tylko czarne, wystrzępione obłoki przemykały wśród lśniących gwiazd, przesłaniając chwilami księżyc. Obok potężnych masztów tańczącego na falach statku kołysała się pajęczna sieć lin.

Kate Manion oparła się plecami o balustradę i patrzyła uważnie na kręcących się po pokładzie ludzi. O czym myślała?

Nad czym się zastanawiała? Co ją przywiodło na jego statek? Czy myśli o tym, że za chwilę zacznie się podróż jej marzeń? Większość pasażerów tak traktowała rejs tym żaglowcem.

Tymczasem Kate nurtowały zupełnie przeciwne myśli. Wcale nie była zadowolona, że następny tydzień spędzi na morzu. Szczerze mówiąc, wolałaby chyba wziąć urlop i przesiedzieć go w domu, wylegując się pod parasolem w swoim ogródku. Betty przekonywała ją, że taki urlop to jednak zupełnie co innego, że jej przyjaciółka powinna odetchnąć od stresów, jakie przeżywała w pracy i w domu, a w tym celu najlepiej jest zmienić na jakiś czas otoczenie.

Cóż, może Betty miała rację. Kate nie pamiętała, kiedy ostatni raz była na wakacjach. W ciągu ostatnich kilku lat nie było po temu okazji. Najpierw szkolila się, by zostać agentem ubezpieczeniowym, potem została kontrolerem w firmie, która finansowała jej naukę. Nazwanie tej pracy stresującą byłoby sporym niedomówieniem. Czterej poprzedni kontrolerzy przypłacili ją zdrowiem i musieli odejść. Kiedy Betty zauważyła, że Kate kłóci się z maklerami i beszta sekretarki za byle głupstwo, zaczęła się o nią martwić.

- Mam wykupioną wycieczkę - powiedziała jej któregoś dnia. - Nie wykorzystam tego biletu, więc jedź ty. Nic się nie stanie, jeśli przez jakiś czas nie będzie cię w biurze. Powiedz szefowi, że bierzesz zaległe cztery tygodnie urlopu, poleż w słońcu, zakochaj się, a jeśli masz odrobinę rozsądku, nie wracaj już do tej firmy.

- Nie mogę wyjechać na cztery tygodnie. Betty starała się nie okazać zniecierpliwienia.

- Wsiądź tylko na ten statek, a zobaczysz, że odechce ci się biura. Spotkasz tam moją przyjaciółkę, Samanthę Blake. Zaopiekuje się tobą przez kilka dni. Jak ci się nie spodoba, wrócisz po tygodniu.

Kate skapitulowała, gdy kolejnego dnia, w czasie śniadania, z przerażeniem zauważyła, że wrzeszczy nawet na własnego ojca. Godzinę później weszła do gabinetu wiceprezesa, aby oznajmić, że bierze urlop. Odebrała

wcześniej pensję i przez resztę dnia biegała po sklepach, szukając najlepszego kremu do opalania i najmodniejszej plażowej konfekcji. Teraz zaś była już na tym wspaniałym podobno statku, na którym - jak powiedziałby Kubaś Puchatek - zaczynała się jej Przygoda.

Z mesy dolatywały dźwięki gitary. Przypomniała sobie, że ktoś jej wspominał o wieczorku, który miał rozpocząć się o dziewiątej. Odruchowo zerknęła na przegub, lecz spostrzegła, że nie ma na nim zegarka. No tak, Betty zabrała go jej na lotnisku, żeby „oduczyła się żyć na godziny”. W domu i w pracy terminy rządziły jej życiem. Zerkanie na zegarową tarczę stało się dla niej czymś tak powszednim, jak oddychanie. Teraz zastanawiała się, ile potrzebuje czasu, by zacząć sobie radzić bez niego.

Słyszając kolejne, cichsze tym razem dźwięki gitary, postanowiła zajrzeć do mesy. Ta wypełniała się już pasażerami. Długowłosy gitarzysta o wyglądzie hipisa z lat sześćdziesiątych usadowił się w głębi sali i grał muzykę ze swojej epoki. Kate popatrzyła na niego z sympatią, potem zaś zaszyła się w kącie z filiżanką kawy i książką z ekonomii, którą zamierzała przeczytać do końca rejsu.

Ale solista śpiewający przy akompaniamencie swojej gitary szybko sprawił, że książka została zamknięta i odłożona na bok. Joni Mitchell, Elton John, Crosby, Stills and Nash - to była muzyka, którą fascynowała się w szkole i która trafiała prosto do jej serca. Mój Boże, jak dawno już jej nie słuchała? Dziesięć lat, piętnaście? A może więcej?

Kolejne piosenki przywodziły wspomnienia dawnych czasów, dawnych przeżyć, do których teraz Kate zapragnęła nagle powrócić. Gorzkie i słodkie zarazem to były wspomnienia. Kiedy była młoda, zdawało jej się, że w jej życiu wszystko może się zdarzyć. Świat stał przed nią otworem, nie próbowała sobie nawet wyobrazić, jakby to

było, gdyby porzuciła swój młodzięczy idealizm i zgodziła się spełnić rodzicielskie wizje dotyczące jej przyszłości. A jednak tak właśnie się stało - pracowała w firmie, dobrze zarabiała, brała kredyty i kupowała nowe rzeczy. Rzeczy...

Pogrążona w zadumie, nie zauważyła, że do mesy wszedł także wysoki, jasnowłosy kapitan i zajął miejsce pod przeciwległą ścianą. Nie dostrzegła również, jak bardzo był zaskoczony, kiedy spojrzał przypadkiem w jej kierunku i zobaczył wzruszoną twarz Kate Manion, a zwłaszcza jej powilgotniałe lekko od łez oczy.

Jack zaczął o północy wachtę, ograniczył się więc do jednego piwa. Sączył je na zewnątrz przy barze, ale - jak zawsze, gdy Mark zaczął grać - muzyka zwabiła go do środka. Brzmiała tak melancholijnie, była taka poruszająca. Dźwięki gitarowych strun stanowiły przyjemną odmianę w porównaniu z natarczywym łomotem współczesnych zespołów.

Mesa była już wypełniona pierwszymi nocnymi gośćmi, którzy przybyli tam pojedynczo lub parami i z zaciekawieniem rozglądali się wokół. Zrobiło się też dość hałaśliwie, co niewątpliwie przeszkadzało Markowi. Jack wypił kolejny łyk piwa i pomyślał, że zostanie jeszcze z pół godzinki, zanim podchmieleni klienci nie zagłuszą całkiem balladowej muzyki.

Przyglądał się od niechcienia zebranym w mesie ludziom, próbując przewidzieć ich zachowanie podczas rejsu, gdy nagle zauważył tę kobietę.

Najpierw spostrzegł jej jasne włosy. Zamierzał właśnie wypić kolejny łyk piwa, gdy odwróciła lekko głowę, a wtedy wpadła mu w oko jasna, słoneczna plama. Włosy... Kate Manion miała piękne włosy. Natychmiast opuścił rękę, zapominając o piwie. Gdy Kate znów poruszyła głowę, ujrzał, jak falują, a wtedy pomyślał sobie, że jej włosy są jak

poruszane lekkim podmuchem wiatru złociste łany zboża. Zapragnął nagle dotknąć ich, zanurzyć w nich dłonie.

Ujrawszy jej twarz, marzył już jednak o czymś więcej. Kiedy się poznali, uznał ją za atrakcyjną kobietę o inteligentnym spojrzeniu, ale nie dostrzegł w niej jeszcze tego, co widział teraz. Wsłuchana w muzykę, Kate wydała mu się zjawiskowo piękna, jedyna w swoim rodzaju i niepowtarzalna. Tak, zwrócił wcześniej uwagę na jej klasyczne rysy, teraz jednak musiał przyznać, że prócz doskonałych proporcji jej twarz jest także oryginalna, fascynująca, niezwykła. Ta dziewczyna wyróżniała się w tłumie, jakby otaczała ją świetlista luna. No i oczy. Jack nigdy nie widział takich lśniących oczu, błękitnych jak letnie niebo. Tylko skąd się w nich wzięły te łzy, które z takim wysiłkiem próbowała powstrzymać?

Westchnął tęsknie i pokręcił z niedowierzaniem głową. Pływał na „Gwieździe Karaibów” od czterech lat i poznał w tym czasie wiele kobiet, pięknych, inteligentnych, zmysłowych. Umawiał się z poetkami, malarkami i z co najmniej jedną prawniczką. Teraz jednak, siedząc samotnie w zatłoczonej mesie, miał dziwne przeczucie, że w zetknięciu z Kate Manion jego doświadczenie okaże się całkowicie nieprzydatne.

Przyglądał się jej przez pół godziny, a gdy pijacka wrzawa zagłuszała coraz bardziej muzykę i gdy Kate wyszła rozczarowana z mesy, natychmiast podążył za nią.

Na pokładzie wygaszono już światła, pozostawiając tylko kilka pojedynczych żarówek na masztach. Wiał nadal silny wiatr, dlatego na zewnątrz było prawie pusto. Kate podeszła do burty i oparła się o reling, wciąż trzymając w dłoniach filiżankę z kawą. Wyszła, bo miała dosyć rozwrzeszczanych pasażerów. Wystarczyło trochę alkoholu i poczucie luzu z powodu zaczynających się wakacji, a rozsądni na pozór ludzie

zaczęli się zachowywać jak rozbrykane bachory albo nastolatki na szkolnej wycieczce. Hałaśliwy, podchmielony tłumek zepsuł jej całą przyjemność słuchania muzyki.

Mimo to wciąż była pod wrażeniem usłyszanych przed chwilą piosenek. Zapomniane piosenki, odkurzone melodie. Czy to nie dziwne, że obudziły w niej tyle sentymentów? Minęło przecież tyle czasu...

Wychyliła się za burtę i zamknęła oczy. Zapach słonej wody drażnił jej nozdrza, wiatr targał włosy. Usłyszała przez gwar śmiechów następną balladę i poczuła ból w sercu. Wiązały się z nią wspomnienia czasów, gdy tak bardzo pragnęła zostać następczynią Mary Cassatt, nową Georgią O'Keefe. Zamierzała wprawić w zdumienie świat sztuki, wszystkich krytyków i znawców, chciała przenosić na płótno szaleńczą radość życia, oddać się malarstwu, które było jej największą pasją.

Musiała jednak pogodzić się z losem. Kiedy w domu zabrakło pieniędzy, a rodzice zaczęli chorować, nie pozostało nic innego, jak znaleźć porządną pracę i jakoś sobie radzić. Odniosła sukces, zdobyła niezależność. Przekonała nawet sama siebie, że tego właśnie chciała. I zdusiła w sobie to, co naprawdę ją poruszało i dla czego chciała żyć.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał nagle ktoś za jej plecami.

Nie słyszała wcześniej jego kroków, uniosła więc raptownie głowę. Był to ten sam blondyn, który zrobił na niej takie wrażenie przy wejściu na pokład i później, gdy wdał się z nią w rozmowę. Uznała wtedy, że nie ma u niego żadnych szans i postanowiła dać sobie spokój. Teraz stał na wprost niej, trzymał ręce w kieszeniach, a jego włosy jaśniały lekko w nikłym świetle. Oczy kryły się w cieniu, lecz i tak Kate poczuła, że zaschło jej nagle w ustach.

- Nic mi nie jest - odparła z wahaniem. Skinął głową i stanął obok niej przy relingu.

- Chciałem się tylko upewnić, że nie mówiła pani serio o rzucaniu się do wody. Kapitan musi dbać o swoich pasażerów.

Kate uśmiechnęła się, obserwując migocące na wyspie światełka.

- Nie mogłabym wyskoczyć za burtę. Betty nigdy by mi tego nie wybaczyła, panie kapitanie.

- Ma pani troskliwą przyjaciółkę. Zawsze odstępuje pani bilety na wycieczki?

- Tylko wtedy, gdy sądzi, że grozi mi w pracy kryzys.

- Często się to zdarza?

- Zdarzyło się właśnie po raz pierwszy.

Znów się uśmiechnęła. Nie ma co, piękna scenka, pomyślała. Rozmawiam przy świetle księżyca z superprzystojnym kapitanem. Zapach jego wody kolońskiej miesza się z wonią słonej bryzy, na niebie świecą gwiazdy, a my wpatrujemy się w morze i gawędzimy sobie jak dwójka przyjaciół. Betty byłaby chyba szczęśliwa.

- Jak ona się nazywa?

- Moja przyjaciółka? Betty. Elizabeth Williams.

- Elizabeth jest bardzo hojna.

- Ma po prostu praktyczne podejście do życia. Dostała niedawno awans, więc uznała, że nie może sobie pozwolić na wakacje. Ale życzy mi jak najlepiej, to prawda.

Piosenkarz w mesie skończył właśnie śpiewać i teraz słychać było tylko szum fal oraz łopot wiatru w zwiniętych żaglach. Kapitan patrzył w morze i nie odchodził, jakby zamierzał dalej z nią rozmawiać. Czyżby to było coś więcej niż tylko służbowa, uprzejma pogawędka?

- Gdzie pani pracuje? - zapytał.

- W firmie inwestycyjnej. - Kate wyznała to jakby z żalem, a przecież była dumna ze swojej pracy. Gdy mówiła w

Detroit, gdzie pracuje, wszyscy patrzyli na nią z zazdrością. Ale tutaj, nie wiedzieć czemu, było inaczej. - Dokonujemy transakcji na rynku walutowym - dodała. - Jestem kontrolerem.

- Aha - pokiwał głową. - Co to właściwie oznacza?

- Nadzoruję większe zakupy i przelewy bankowe. Sprawdzam, czy dokonano słusznych inwestycji i czy odpowiednie sumy docierają do właściwego kraju i na właściwe konto.

- Lubi to pani?

- Bardzo.

- I chce pani zrobić karierę, trafić kiedyś do zarządu tej swojej firmy?

- Niekoniecznie. - Pokręciła lekko głową. - Chcę być samodzielnym maklerem. W styczniu zacznę szkolenie.

- Ambitne plany.

Ambitne i szalone, pomyślała, dodając na głos:

- Można potem liczyć na dobrą pracę.

Wskazał ruchem głowy na książkę, którą miała ze sobą.

- To pewnie cena, jaką trzeba zapłacić?

Kate spojrzała na podręcznik - ciężki, pełen przypisów i wykresów.

- Zgadza się. Za trzy tygodnie mam egzamin.

- Ale teraz jest pani na urlopie.

- Odpoczywam od pracy. Bo od kursu ekonomii nie ma ucieczki.

- To straszne. Musimy coś z tym zrobić - stwierdził i odwrócił ku niej twarz.

Kate wytrzymała spojrzenie stalowoszarych oczu. Kapitan miał tyle lat, co ona, może trochę więcej. W jego źrenicach dostrzegła życzliwość, ale i coś na kształt lekkiej kpiny. Chyba traktował ją nieco pobłaźliwie i protekcyjnie. A może nie tyle ją, co jej pracę.

- A pan zawsze był żeglarzem? - zapytała.
- Tak - odparł bez wahania. - W dzieciństwie chciałem zostać bankierem, ale porwali mnie Cyganie.

Kate roześmiała się cicho.

- Oni kradną konie, nie marynarzy.
- Słusznie - przyznał z szerokim uśmiechem - pomyliło mi się. Zostałem uprowadzony przez Wikingów.

- Jack! Jesteś tu? - do rozmowy wtrącił się obcy głos i po chwili Kate zauważyła wyłaniającą się z mroku postać.

Kapitan wyprostował się i odwrócił, próbując nie okazać rozdrażnienia. Ona jednak wiedziała, że nie jest zadowolony z powodu przerwanej rozmowy.

- Tak, Brian. O co chodzi?
- Mamy problemy z sonarem.
- Już idę.

Nieznajomy zniknął bez słowa w ciemnościach i Kate sądziła, że Jack zaraz ją pożegna, on jednak zapytał nieoczekiwanie:

- Zamierza pani spać na pokładzie?
- Nie - znów się roześmiała - mam całkiem wygodną kajutę. Tu jest ciekawiej, ale tam przynajmniej nie pada.

Jack odchylił głowę, aby spojrzeć w niebo. Kate zobaczyła w nikłym świetle jego muskularną szyję.

- Wkrótce się przejaśni - stwierdził. - A jutro będziemy mieli dobre wiatry.

Kate zdążyła oderwać wzrok od jego szyi, zanim spojrzał jej w oczy.

- Dobre wiatry - powtórzyła. - Rozumiem, że postawimy żagle. Kto będzie je wciągał? Mam nadzieję, że nie pasażerowie.

- Mam zwykle wachtę od północy do czwartej rano - oznajmił, nie odpowiadając wprost na jej pytanie. - To dobra

pora, żeby poznać statek i jego zwyczaje. Wiele osób przychodzi wtedy na pokład. Może i pani przyjdzie.

Chciała odpowiedzieć coś inteligentnego albo choćby zabawnego, ale była zbyt oszołomiona. Jack wyraźnie szukał jej towarzystwa, proponował spotkanie. Nie chciało jej się w to wierzyć i nie dostrzegała w tym żadnego sensu, bo przecież na pokładzie było wiele piękniejszych od niej kobiet, a kapitan miał na pewno sporo obowiązków.

Odparła wymijająco:

- Hm, ciekawy pomysł. Zastanowię się nad tym.
- W porządku - skinął głową. - Tymczasem proszę mi przyrzec, że nie zrobi pani niczego nierozsądnego.
- Co najwyżej pouczę się ekonomii.
- Wyleczymy panią z tego - oznajmił z proroczym uśmiechem, a potem pożegnał się i odszedł.

Kate patrzyła za nim z mieszanymi uczuciami. Przystojny, inteligentny i aż nazbyt sympatyczny. Na dodatek mańkut - tak jak ona. Dlaczego tacy mężczyźni nie zwracali na nią uwagi w Detroit? Nie ma tam takich?

Może i nie ma. Zawsze spotykała inżynierów albo urzędników, nie mogących się zdecydować, czy chcą iść na randkę, czy na mecz. Nigdy nie trafiła na faceta z charakterem, który nie musi polegać na swoim stroju czy portfelu, by mieć powodzenie. Cóż, chyba żaden z nich nie został porwany w dzieciństwie przez piratów.

Rozdział 2

Kate zakochała się w „Gwieździe Karaibów” w tej samej chwili, kiedy statek rozwinął żagle. Zgodnie z przewidywaniami Jacka ranek był piękny. Mieli przed oczami egzotyczny krajobraz w tonacji błękitu i soczystej zieleni. Morze było spokojne, żagle łopotały dostojnie, odbijając się w krystalicznie czystej wodzie jak w lustrze. Kate spacerowała bospo po ciepłym, drewnianym pokładzie, podziwiając pejzaż okiem artysty.

W południe rozległa się pierwsza komenda. Podniesiono kotwicę i „Gwiazda Karaibów”, niecierpliwa jak koń wyścigowy w bloku startowym, obróciła się pod wiatr. Po drugiej komendzie wszyscy zaczęli ciągnąć liny.

Żagle wydeły się majestatycznie na tle błękitnego nieba. Kiedy jeden z nich pochwycił wiatr, statek zaczął płynąć. Gdy zaś załopotały wszystkie cztery, „Gwiazda Karaibów” zdawała się unosić nad powierzchnią wody.

Kate stała przy relingu, czując się tak, jakby jechała kolejką w lunaparku. Jej rozpromienione oczy miały odcień bardziej błękitny niż niebo. - Robi wrażenie, prawda?

Odwróciwszy się, zobaczyła Jacka, który właśnie przechodził obok. Uśmiechnęła się do niego jak dzieciak, zabrany do wesołego miasteczka.

- Całkiem nieźle. Żeglowanie może człowieka wciągnąć.

- Niech pani spróbuje wyjść na pokład nocą - zaproponował.

- Niewykluczone, że to zrobię - odparła, choć już jej nie słyszał. Spojrzała ponownie na żagle, nie chcąc wodzić wzrokiem za ubranym w białe spodenki kapitanem i ulegać niepotrzebnej pokusie.

Nie mogła sobie znaleźć miejsca. Jej organizm najwyraźniej źle znosił spokój i beczynność. Zawsze miała ścisły harmonogram zajęć - szkoła, praca, zajęcia domowe,

obowiązki rodzinne, rozrywki. Wszystko starała się zaplanować i na wszystko ciągle brakowało jej czasu. Stale była w ruchu, wiecznie goniły ją terminy, teraz więc nie mogła się pozbyć przykrego wrażenia, że zapomniała o czymś istotnym i że za chwilę przypomni jej o tym jakiś telefon. Czuła się nieswojo, kiedy nikt niczego od niej nie chciał, bez wrzawy i nerwowej krzątaniny. Nie była pewna, czy wytrzyma tydzień, opalając się tylko i rysując. No i uwodząc przystojnych mężczyzn, na co namawiała ją Betty.

Usiadła w końcu na pokładzie ze stertą książek. Sięgnąwszy po podręcznik marketingu, zauważyła wystający spod niego szkicownik. Było to jak znalezienie tabliczki czekolady w szafce z kaszą i warzywami. Nie mogła oprzeć się pokusie.

Tyle rzeczy było tu godnych utrwalenia na papierze: cudownie symetryczna sylwetka żaglowca, twarze pasażerów, gra światła i cieni na pokładach. Podejrzewała, że poniesie za to karę, ale wzięła szkicownik do ręki.

Stojące wysoko słońce grzało jej nagie ramiona, a chłodna bryza wicherzyła przyjemnie włosy. Wyspa St. Maarten znikła powoli za rufą, a po lewej stronie wyłaniał się jak chmura kolejny ląd. „Gwiazda Karaibów” ze świstem wiatru w żaglach tańczyła na falach jak dziewczyna.

- Pani Kate Manion, prawda?

Uniosła głowę i zobaczyła urodziwą długonogą brunetkę, której figura przyprawiłaby o omdlenie producenta kostiumów kąpielowych.

- Tak, to ja - odparła Kate, osłaniając oczy od słońca. Brunetka przykucnęła natychmiast obok niej i Kate ujrzała jej twarz, równie efektowną jak figura.

- No jasne - stwierdziła nieznajoma, uśmiechając się szeroko i wyciągając do niej rękę. - Nie mogłam się pomylić.

Jestem Samantha Blake, przyjaciółka Betty. Znajomi mówią do mnie Sam.

Kate uścisnęła jej dłoń bez entuzjazmu. Oczywiście. To była ta znajoma Betty, która miała odnaleźć ją na statku. Jej opiekunka.

- Cały statek mówi o tobie - kontynuowała Sam, usiadłszy obok niej.

- Doprawdy?

- Jack zapamiętał nawet, jak masz na imię.

Kate oczekiwała dalszych rewelacji, ale Sam uśmiechała się tylko tajemniczo, zapytała ją więc ostrożnie:

- I co? Co to oznacza?

- Jak to co? Zapamiętał cię - powtórzyła Sam, widząc zaś, że jej rozmówczyni nadal nic nie rozumie, westchnęła wymownie. - Spytałam Jacka, czy zna Kate Manion. I wyobraź sobie, że podał mi twój dokładny rysopis. Wspomniał nawet o kolorze włosów. Fakt, są bardzo oryginalne. Chciałabym mieć takie.

Kate popatrzyła na nią ze zdziwieniem, lecz Sam już mówiła dalej:

- Betty kazała mi dopilnować, żebyś należycie wypoczęła. Podobno wasze biuro stało się istnym domem wariatów. Pracujecie w biegu, to prawda?

- W ten sposób łatwiej uniknąć latających pocisków - stwierdziła z Kate z cierpkim uśmiechem. - Ty pewnie masz więcej spokoju. Betty mówiła, że prowadzisz księgarnię?

Sam skinęła głową.

- Na wyspie St. Thomas. Zostawiłam tam na parę tygodni moją współniczkę. Przez pierwszą połowę roku ona ćwiczyła surfing, więc teraz moja kolej. - Nie robiąc nawet przerwy na oddech, sięgnęła po jeden z cięższych podręczników Kate i powiedziała: - O rany, to chyba nie jest wakacyjna lektura. Przyjdź potem do mojej kajuty, mam całą stertę romansów.

Nadają się idealnie na plażę albo taki rejs. Ej, a cóż to takiego?

Kate wyciągnęła instynktownie rękę, by odebrać jej szkicownik. Kończyła właśnie rysunek jednego z marynarzy. Jego naga, śniada pierś lśniła od potu w południowym słońcu. Miał napięte z wysiłku mięśnie i uśmiechał się zalotnie.

Sam przeciągnęła palcem po rysunku, kiwając głową z podziwem.

- Berty nigdy nie wspominała, że jesteś artystką. Wspaniały szkic.

- To tylko hobby - zaprotestowała Kate, zażenowana słowami uznania. Matka zawsze miała do niej pretensje, że szkicuje albo maluje zamiast odrabiać lekcje lub zajmować się domem. Odkąd powiedziała jej kiedyś bez ogródek, co myśli o traceniu czasu na takie rzeczy, Kate malowała już tylko w ukryciu, późną nocą.

- Ładne mi hobby! - Sam pokręciła głową, przerzucając wypełnione strony szkicownika. - Nie mów głupstw. To znakomite szkice. O wiele gorsze rysunki sprzedaje się turystom na targu w moim miasteczku.

Kate wzruszyła ramionami, coraz bardziej zmieszana. Rodzice lekceważyli zawsze jej uzdolnienia, uważając, że powinna znaleźć sobie jakąś pewną, dobrze płatną pracę. Tak też zrobiła.

- Narysujesz coś dla mnie? - zapytała Sam, wciąż trzymając jej otwarty szkicownik.

- Dla ciebie? Co na przykład?

- No, nie wiem... - Sam rozejrzała się wokół, postukując palcami o kartki. - O, naszkicuj mi portret Jacka - uśmiechnęła się szeroko. - Bez koszuli.

Kate zarumieniła się jak zadurzona licealistka. Jack bez koszuli, którego przed chwilą wskazała jej Sam, wyglądał

niezwykle kusząco. Był smukły jak pływak. Miał muskularny tors, płaski brzuch, jego skóra była lekko wilgotna od potu.

- Och, tak - westchnęła Samantha i pokiwała głową. - Powieszę sobie ten szkic nad biurkiem. Na pamiątkę naszego spotkania.

- Mój model ma silne ramiona, prawda? - odezwała się Kate, próbując odzyskać równowagę i zachowywać się ze swobodą dojrzałej kobiety.

- Mhm, nie ty jedna to spostrzegłaś. Zobacz, ile chętnych kręci się koło niego. Może w nich przebierać i wybrzydzać. Ale za to ty jedna wpadłaś mu w oko. Może spróbowałybyś swoich sił?

Kate zaśmiała się sztucznie.

- To nie to samo, co rysowanie, Sam. Poza tym nie chcę dać się stratować. - Odebrawszy szkicownik, zamknęła go i wzięła do ręki notatki z ekonomii.

Sam najwyraźniej nie dawała za wygraną.

- Czemu się poddajesz? W czym inne kobiety są od ciebie lepsze?

- We wszystkim. Mają długie nogi, idealne figury i wrodzony instynkt łowiecki - odparła Kate, nie podnosząc wzroku. - Ja nie umiem chichotać i głaskać paluszkami po męskim ramieniu. Poza tym nie lubię tłoku.

Sam, rozbawiona tą uwagą, pokręciła głową.

- Myślę, że siebie nie doceniasz. Jesteś równie piękna, właściwie nawet piękniejsza. Przypominasz...

Kate uniosła ostrzegawczo palec.

- Jeżeli usłyszę słowo „elf, twój bagaż wylądować za burta.

- A co w tym złego, że tak wyglądasz? - roześmiała się Sam.

- Nic - odparła Kate rzeczowym tonem. - Ale słyszałam to tysiące razy, od dziecka. W przedszkolu zawsze grałam aniołki albo księżniczki. Te dobre, jasnowłose.

- Więc Jack wcale cię nie pociąga? Nie wierzę.

- Och, co jest atrakcyjnego w mężczyźnie, który ma zabójczy uśmiech, uczciwą twarz, inteligentne wejrzenie i tors jak z klasycznej rzeźby?

- Nie wspominając o pośladkach, które ma się ochotę uszczypnąć.

- Też to zauważyłaś?

Sam uśmiechnęła się triumfująco.

- A, widzisz. Gotowa jestem założyć się z tobą...

- O co?

- O to, że pod koniec rejsu Jack będzie chciał przedstawić cię swojej mamusi.

Kate wybuchnęła śmiechem, rozbrojona bezgranicznym optymizmem Samantha.

- Czytasz zbyt dużo romansów, Sam. Prędzej zostanę kucharzem na tym statku niż Jack zaprosi mnie do swego domu.

- Zobaczymy. - Sam pokiwała głową i nie mówiąc nic więcej, zajęła się grubą książką, którą przyniosła na pokład, a której okładka przedstawiała dwie splecione w uścisku postacie, ubrane w stroje z czasów wojny secesyjnej.

Romans. Może i ona powinna zafundować sobie taką przyjemność? Przynajmniej w postaci książki.

Wieczorem musiała znowu przyznać się do porażki. Książka z ekonomii została w kajucie, a ona siedziała na pokładzie ze szkicownikiem na kolanach. W pejzażu morza lśniącego w poświacie księżyca było coś magicznego. Nie potrafiła zająć się niczym pożytecznym, mogła tylko patrzeć i rysować.

Przejrzała pobieżnie wypełnione szkicami strony. Widniały na nich postacie w marynarskich strojach, sylwetki statków, geometryczne wzory przypominające żagle i takielunek. I coś jeszcze - przekartkowując ponownie

szkicownik, zdała sobie sprawę, że zainteresował ją szczególnie jeden temat.

Ręce. Aż cztery kartki wypełniały rysunki rąk: pracujących, ciągnących linę, majstrujących przy silniku, gestykujących lub spoczywających na relingu. Smukłe, szczupłe dłonie wydawały się wyrzeźbione z marmuru, ale kilka blizn na skórze nadawało im realistyczny wygląd.

Kate przyglądała się zafascynowana naszkicowanym pospiesznie ruchliwym palcom, świadczącym nie tylko o sile i wdzięku, lecz także o zręczności ich właściciela. Były to ręce Jacka.

Westchnęła, wpatrując się w mglisty mrok księżycowej nocy. Zamiast trzymać się od niego z daleka, pograżam się coraz bardziej, pomyślała. Rysunków Jacka, które miała w swoim szkicowniku, wystarczyłoby do wyrzeźbienia naturalnej wielkości posągu. Napawała ją niechęcią świadomość, że chyba jednak się w nim zadurzyła.

Przypomniała sobie słowa Sam: „Jack cię zapamiętał, wpadłaś mu w oko”. Zastanawiała się, dlaczego ma to dla niej takie znaczenie i dlaczego chce, by rzeczywiście tak było.

- Widzę, że skorzystała pani z mojej rady.

Drgnęła, usłyszawszy głos męczyzny, o którym właśnie myślała. Spojrzała na jego sylwetkę majaczącą w blasku księżyca i pomyślała, że chciałaby przenieść na papier srebrną poświatę, widoczną na jego włosach - albo chwycić ją w dłonie. Miał znów na sobie koszulę, lecz była ona rozpięta i Kate, jak poprzednio, zatrzymała spojrzenie na muskularnej szyi. Miała ochotę dotknąć go w tym miejscu.

Podniósłszy wzrok, spostrzegła, że uśmiecha się do niej przyjaźnie. Jak do wszystkich pasażerów? A może trochę bardziej poufale?

- Chcę wszystkiego popróbować - odparła trochę nieporadnie. Nieprawda, pomyślała natychmiast. Nie lubię ryzyka. To przez ten cholerny księżyc ulegam pokusie.

Jack uniósł brwi, przykucnąwszy obok niej.

- Mówiąc w ten sposób, może pani liczyć na interesujące propozycje.

Kate uśmiechnęła się lekko, obejmując rękami kolana i zasłaniając dyskretnie szkicownik.

- Czy nie po to są wakacje?

Boże, nikt w Detroit nie uwierzyłby, że powiedziała coś podobnego! Sama z trudem w to wierzyła. Ale w tę cichą, księżycową noc, gdy wszystkie drapieżne kobiety tańczyły w sali przy orkiestrze, a mężczyzna z jej snów nachylał się ku niej z zainteresowaniem, różne cuda były możliwe.

- Dlaczego nie bawi się pani na dole? - zapytał cicho Jack. Wzruszyła ramionami, oczarowana pogodnym wyrazem jego twarzy i łagodnym spojrzeniem szarych oczu.

- Może później tam zejść. Niełatwo ulegam takim pokusom. Pokiwał głową.

- Tak przypuszczałem. Pewnie się pani domyśla, że nie jest to typowa cecha samotnych kobiet, które trafiają na pokład tego statku.

- Większości z nich nie trzeba namawiać do udziału w rejsie, a zwłaszcza w wieczornym dansingu, czy tak?

- Dokładnie tak.

- Mimo to jestem samotną kobietą. Chyba dość typową.

- Och, nie, samotne kobiety rzadko bywają powściągliwe jak boginki, dyskretnie, a przy okazji piękne.

- Słucham? - powiedziała, zmieszana i zaskoczona jego słowami.

- Zdradziły panią włosy - odparł równie tajemniczo i zanim zdążyła się zorientować, uniósł rękę i pogładził je

delikatnie. - Po nich poznałem, że nie może być pani zwyczajną istotą z krwi i kości.

Roześmiała się lekko, ale wcale nie była rozluźniona i swobodna. Tak, pan kapitan całkowicie ją zaskoczył. Nie spodziewała się po nim takich wypowiedzi i tego, że będzie ją uwodził. Nie miała pojęcia, jak powinna się zachować, toteż siedziała nieruchomo, słuchała przyspieszonego bicia swego serca i czekała w napięciu na ciąg dalszy.

Jack milczał chwilę, wreszcie znowu się odezwał:

- Pani włosy są wprost niezziemskie. Niezwykły odcień... - Westchnął i spojrzał jej z uśmiechem prosto w oczy. - Czy ktoś już pani mówił, że wygląda pani jak elf, jak leśna nimfa?

Połowa mieszkańców Detroit, pomyślała z przekąsem Kate. No cóż, przynajmniej będzie miała satysfakcję, oznajmiając Sam, że się co do niego nie myliła. Kapitan Whelan to niezły podrywacz.

- Walt Disney chciał kiedyś, żebym zagrała w jego „Kopciuszku” - stwierdziła, udając powagę.

Jack uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Powinien raczej dać pani rolę w „Śnie nocy letniej”. Niech mi pani powie o sobie coś jeszcze. Czy leśne nimfy nie boją się wody?

Kate popatrzyła znacząco na morskie fale.

- Jak widać. Roześmiał się.

- Mam na myśli nurkowanie. Lubi to pani?

- Nie wiem - pokręciła głową - w Detroit nigdy tego nie próbowałam.

- Więc gdy dotrzemy do wyspy Nevis, dam pani pierwszą lekcję. Na pewno się pani spodoba.

- Da mi pan lekcję? - Powtórzyła drwiąco i uniosła brwi.

- Lekcję nurkowania.

- A kiedy dotrzemy do Nevis?

Jack przeniósł wzrok na linię horyzontu, a Kate wyobraziła sobie natychmiast, że jej kapitan jest odzianym w jedwabną koszulę i bryczesy oficerem na dawnym galeonie i wypatruje właśnie statku wroga.

- Być może dopłyniemy do Nevis już jutro - oznajmił po chwili. - Trudno powiedzieć. W każdym razie w tej chwili mierzymy właśnie tam.

- W tej chwili? Nie ma to jak precyzyjna nawigacja.

- Płyniemy tam, dokąd niesie nas wiatr - odparł, z każdą chwilą rozbawiony coraz bardziej. - Takie są zasady tego rejsu. Poza tym to o wiele bardziej romantyczne, nie sądzi pani? Czy nie ciekawiej jest nie wiedzieć czasami, dokąd się zmierza?

- Moja mama by się z tym nie zgodziła - odparła, patrząc na niego sceptycznie.

- Nawet matki czasem się mylą - odparł, nie spuszczać wzroku. - W każdym razie oczekuję pani na lekcji.

- Zgoda. - Kate skinęła głową. - Przyjdę na pewno, panie profesorze.

- Aha - dodał Jack, zanim podniósł się na nogi - i proszę zabrać ze sobą szkicownik. Uwielbiam patrzeć na dziewczyny, które rysują. To takie romantyczne. - Widząc jej zaskoczenie, roześmiał się po raz ostatni i powiedział: - Dobranoc, Kate.

Zapamiętał jej imię. Miała coraz większą nadzieję, że to naprawdę coś znaczy. Odłożywszy szkicownik na bok, przykryła się kocem i zamknęła oczy. Może uda jej się zasnąć, może jasnowłosey kapitan przyjdzie do niej w sennym marzeniu? Niestety, po chwili usłyszała Sam, która bezceremonialnie zajęła miejsce obok niej i oznajmiła, odczekawszy, aż Jack Whelan oddali się na wystarczająco dużą odległość:

- Mam dla ciebie ciekawą wiadomość. Wysłałam właśnie z dansingu. Wszyscy mówią tam o Jacku i „tej małej blondynie”.

Kate poklepała ją pojednawczo po ramieniu.

- Nie musisz się martwić. Wygrałaś już swój zakład.

- Oświadczył ci się!

- Nie, nazwał mnie elfem.

- Nie wierzę.

- Więc uwierz. - Kate uśmiechnęła się cierpko. - Właściwie częściej mówił, że jestem leśną nimfą, ale to na jedno wychodzi.

- Ale zapamiętał, jak masz na imię.

- Nie jest to chyba powód do popadania w euforię. Sam pokręciła głową z wyraźnym rozczarowaniem.

- Wiesz, ile samotnych kobiet uczestniczy w takich rejsach? - zapytała.

- Sądząc z tego, co widzę, chyba wszystkie, które na to stać.

- No właśnie. A Jack nie pamięta imienia żadnej z nich. Płynełam już z nim trzy razy i ciągle mówi do mnie Sue. Na statku żartują sobie, że gdyby królowa Elżbieta chciała, by Jack ją rozpoznał, musiałyby nosić koronę. A ciebie zapamiętał.

Kate wzruszyła ramionami, układając się pod kocem.

- Pewnie mam na imię tak jak jego matka.

Ale zanim wreszcie zasnęła, sama także nabrała przekonania, że Jack zapamiętał jej imię nie bez powodu.

Okolo czwartej rano Jack robił ostatni obchód statku, sprawdzając, czy żagle wykorzystują całą siłę wiatru i czy wszystko jest w porządku. Wokół panowała cisza, pasażerowie od dawna spali, a towarzysztwa dotrzymywał mu tylko Ronnie, stojący nieruchomo za wielkim sterem.

Jack był zadowolony, że znowu pełni wachtę od północy do czwartej. Lubił spędzać noce na pokładzie, oddychając rześkim, kryształowo czystym powietrzem, podczas gdy potężny statek sunął gładko naprzód. Miał wtedy wrażenie, że „Gwiazda Karaibów” należy tylko do niego - jej siła i wdzięk, wyraziste krzywizny pokładów i żagle, wyglądające nocą jak wielkie szare duchy. „Gwiazda” śpiewała dla niego pieśni o dalekich portach i niezmiernych oceanach, znane całym pokoleniom angielskich marynarzy.

Kończył właśnie przegląd żagli, stąpając ostrożnie, by nie potraćić żadnego ze śpiących na pokładzie pasażerów, gdy zobaczył w świetle latarki jasnozłociste włosy Kate. Przystanął u jej stóp, nie mogąc się oprzeć pokusie, i patrzył na nią w milczeniu, wciąż zadziwiony i zafascynowany jej urodą.

Leżała skulona na boku, z ręką wyciągniętą ku górze, jakby po coś sięgała. Opaliła się trochę tego dnia i miała zaróżowiony nos oraz policzki, przez co wyglądała jeszcze młodziej. Przypominała pogrążone we śnie bezbronne dziecko, które rozkopało się w nocy. Jack z trudem się pohamował, by nie otulić jej kocem.

Skąd się wzięła ta fascynacja, ta czułość, która przepełniała mu serce na jej widok? Może po prostu przeżywał trudny okres. W ciągu ostatnich miesięcy coraz bardziej doskwierała mu samotność. Nie sprawiał mu nawet przyjemności pobyt w przytulnym domu na wyspie St. Maarten. Spędził siedem lat na żaglowcach. Siedem lat, których nie zamieniłby na nic innego. To one przywróciły mu zdrowie i psychiczną równowagę. Teraz miał jednak nieodparte przeczucie, że znów go czeka życiowy zakręt.

Czyżby jego nagłe zainteresowanie jedną z pasażerek było tego kolejnym symptomem? Może zjawiała się na pokładzie akurat w chwili, gdy szukał w życiu jakiejś odmiany?

Uśmiechnął się, obserwując ją z rozczeniem. Promień światła musnął jej twarz i sprawił, że skrzywiła się i przewróciła z westchnieniem na drugi bok. O czym śni to słodkie dziecko? O skarbie ukrytym w leśnej grocie? O księciu, który przyjeżdża po nią na białym rumaku?

Gdy nie spała, była zupełnie inną osobą. Nie przypominała delikatnego kwiatu, który trzeba pielęgnować. Była dowcipna, pewna siebie, miała cięty język. Lubił z nią rozmawiać. Kiedy zaś jej dotykał, nawet przelotnie, przechodziły go ciarki. Teraz jednak wyglądała jak niewinne dziecko, które dopiero zacznie odkrywać świat. Bardzo chciał go jej pokazać.

Przypomniał sobie słowa, które kiedyś usłyszał od ojca: „Uważaj, chłopcze, ta dziewczucha cię omotała.” To prawda, tato, pomyślał, uśmiechając się w duchu. Ale chyba od tej wcale nie chcę się uwolnić.

Rozdział 3

Statek nie dotarł do wyspy Nevis następnego dnia. Staneła im na drodze Antigua, więc tam właśnie zacumowali. Kate została porwana na wycieczkę, obejmującą szaleńcze zakupy z Samanthą i obiad z państwem Brenner, parą staruszków, których Sam poznała podczas poprzedniego rejsu.

Zanim wróciła na statek, zdążyła nabyć w sklepie bezcłowym złotą bransoletę i zaskarbić sobie dozgonną przyjaźń Dicka Brennera, sympatycznego emerytowanego listonosza z Cleveland, który podzielał jej zamiłowanie do sztuki. Gdy jego żona Marta przeczesywała z Sam sklepiki na wyspie, Kate rozmawiała z nim w nadmorskiej kawiarence, ciesząc się słońcem i lekką bryzą. Spędziła wspaniały dzień w pięknym miejscu z miłymi ludźmi, czuła się jednak winna z tego powodu, bowiem nie mogła zapomnieć o tym, że na statku czekają na nią obowiązki. Przecież wkrótce miała zdawać egzamin!

Po kolacji rozpoczął się kolejny dansing. Gdy statek płynął pod srebrnym niebem do następnego portu, włączono taśmy z muzyką i pasażerowie zaczęli gromadzić się w barze. Tylko Kate ukryła się w pustej mesie i rozłożyła podręcznik na kolanach.

- Nie idziesz się bawić? - spytała Sam, gdy znalazła ją po kilkuminutowych poszukiwaniach.

- Nie dzisiaj. Muszę się uczyć.

- Uczyć się? - powtórzyła Sam z niedowierzaniem.

- Owszem - przytaknęła zdecydowanie Kate. - Jestem na wycieczce, ale zajęcia w szkole się nie skończyły. Muszę nadrobić zaległości.

- Daj spokój - zaprotestowała Sam. - Wyluzuj się. Jesteś na wakacjach. Nie musisz odrabiać lekcji.

- Muszę. Chcę utrzymać wysoką średnią. W styczniu mam końcowe egzaminy. - Wstała i próbowała ominąć Sam,

aby nalać sobie kawy z wielkiego dzbanka, stojącego obok wejścia do kuchni, ale przyjaciółka nie dała tak łatwo się zbyć.

- Bez przesady, Kate. Daj sobie tydzień oddechu. Kate przystanąła, ciężko wzdychając.

- Od dwunastu lat pnę się po szczeblach kariery - oznajmiła spokojnie. - Nie pozwolę, by cokolwiek mi w tym przeszkodziło.

Sam sięgnęła po argument nie do zbiccia, stając przed nią jak matka, która próbuje nie dopuścić, by jej dziecko wybiegło na jezdnię.

- Założę się, że gdyby Jack poprosił cię o zamknięcie tej książki, nie sprzeciwiłabyś się.

- Chyba że byłby nagi - odparowała Kate, przepychając się obok niej.

Dwie godziny później wciąż siedziała samotnie w mesie z rozłożonymi przed sobą książkami i zeszytami, trzymając w ręce pióro i próbując nie zwracać uwagi na dochodzącą z zewnątrz muzykę. Ktoś jednak znowu puścił taśmę z piosenkami z lat sześćdziesiątych i nie mogła skoncentrować się na nauce. Nie, pomyślała wreszcie, spoglądając z nagłą niechęcią na stronę pełną danych statystycznych. Nie wytrzymam tak dłużej.

Chodziło oczywiście nie tylko o muzykę. Chodziło o jej życie.

Wszystkiemu winna jest Samantha, pomyślała. Samantha, ten statek, wyspy, Betty, która ją na to wszystko namówiła...

No i Jack.

Poderwała się nagle z krzesła, czując w sercu dziwną pustkę, której przyczyny nie potrafiła określić. A może to nie była pustka, lecz tęsknota?

Dobrze, za czym więc tęskniła? Za kapitanem - piratem? A może raczej za normalnością, za zwyczajnym życiem, jakie dotąd wiodła? Jedyne życie, jakie miała. Bo przecież nie

żyła w jakimś urojonym bajkowym świecie wśród fal Morza Karaibskiego, lecz w zbudowanym ze stali i betonu mieście, zajęta rodzinnymi obowiązkami, pracą i realizowaniem własnych ambicji. Poprzedniej nocy zachowała się jak idiotka, musiała jednak wrócić do swojej rzeczywistości. Dla Jacka zaś nie było w tej rzeczywistości miejsca.

Omijając z daleka bawiących się pasażerów - by nie napotkać Sam i nie usłyszeć „a nie mówiłam?” - Kate weszła po schodkach na górny pokład, gdzie zawodzący wiatr lepiej harmonizował z jej nastrojem. Podążała naprzód równym krokiem, obserwując przed sobą własny cień. Na rufie spostrzegła stojącego za ogromnym sterem jednego z ciemnoskórych marynarzy. Podeszła do niego, wiedzona nagłym impulsem, i zapytała:

- Mogę trochę posterować?

- Oczywiście. - Marynarz wyszczerzył zęby w uśmiechu i stanął z boku, aby mogła ująć w dłonie wielkie drewniane koło. - Proszę tylko trzymać właściwy kurs - poinstruował ją. - Południowo - zachodni. Jasne?

Kate skinęła głową, bo z wrażenia nie była w stanie nic powiedzieć. Czowała się niewiarygodnie, jakby ścisnęła w rękach wodze konia wyścigowego. Stała jak zahipnotyzowana, widząc przed sobą rozległy pokład i statek, tańczący rytmicznie na lśniących w mroku falach.

Nie zauważyła, że w kabinie oficerskiej otworzyły się drzwi i że ktoś stanął cicho za jej plecami.

- Mam pani założyć kamizelkę ratunkową? Odwróciła się i przeszedł ją dreszcz. Jack, znowu.

- Jestem rozczarowana - oznajmiła z uśmiechem. - Ten ster nie ma nawet wspomaganie.

Podszedł do niej bliżej i poczuła wyraźnie zapach jego wody kolońskiej.

- Zbacza pani z kursu - ostrzegł ją dyskretnie ciemnoskóry marynarz.

Natychmiast skoncentrowała znów całą uwagę na sterowaniu. Tylko tego mi brakowało, pomyślała posepnie. Kolejnego powodu, żebym nie mogła się skupić.

- Raczej nie zostanę kapitanem - stwierdziła z przepraszającym uśmiechem.

- Chyba że zorganizuje pani bunt załogi - odparł z rozbawieniem Jack. - Proszę mnie jednak wcześniej zawiadomić.

- Czy wyglądam na rebeliantkę?

- Och, na pewno wyglądałaby pani wspaniale z nożem w zębach. Co w niczym nie zmienia faktu, że jest pani leśną nimfą.

- Nie lubię broni - oświadczyła z grymasem na twarzy - nawet białej.

Coraz trudniej było jej prowadzić tę żartobliwą rozmowę. Wcale nie było jej do śmiechu. Obecność Jacka niepokoiła ją i prowokowała wyobraźnię. Jego bliskość budziła uśpione zmysły. Obezwładniało ją spojrzenie jego szarych oczu, więc starała się patrzeć przed siebie albo spuszczała wzrok. Nie była już taka pewna, że chce trzymać się od niego z daleka.

- Podobała się pani Antigua? - zapytał, stając tuż za nią i ujmując koło sterowe poniżej miejsca, gdzie spoczywała jej dłoń.

- Antigua? - Kate pamiętała w tym momencie tylko tyle, że była na tej wyspie. Tego, co się z nią działo, nie była w stanie opisać ani zrozumieć. To było jak zaćmienie umysłu, jak paraliż, jak nagła niemoc. - Chyba... chyba przypadłyśmy sobie do gustu - stwierdziła, siłąc się na oryginalną odpowiedź.

- Skusiły panią sklepy bezcłowe?

Uniosła w odpowiedzi rękę, by zademonstrować mu złotą bransoletkę. Ta zsunęła się po jej smukłym przegubie, lśniąc delikatnie w blasku księżyca. Nie zauważyła, jakie wrażenie zrobiło to na jej rozmówcy tylko dlatego, że sama była zbyt oszołomiona.

- Bardzo piękna - stwierdził i odetchnął pełną piersią. - Ma pani dobry gust.

Kate także oddychała z trudem.

- Dziękuję. Ale nie wiem, czy ta bransoletka naprawdę była mi potrzebna. To zadziwiające, jakie szaleństwo ogarnia czasem człowieka w tropikalnym klimacie.

- Prawda? - przytaknął i zająknął wymownie w jej oczy. Przez dłuższą chwilę Kate nie mogła oderwać od niego wzroku. Przyciągał ją jak magnes. Dostrzegła w jego chłodnym niegdyś spojrzeniu intymną obietnicę. Stojąc na smaganym wiatrem pokładzie, poczuła nagle, że przepadła z kretesem, że zadurzyła się w nim, choć w ogóle go nie знаła.

- Przepraszam, znowu zbaczamy z kursu - powiedziała i uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - Niech pan uważa, mieliśmy płynąć na południowy zachód.

- Płyniemy z wiatrem - odparł z lekkim uśmiechem.

- Cały czas się nie da - stwierdziła. - Trzeba trochę sterować, bo poniesie nas, gdzie nie trzeba.

- Widzę, że chce pani zrobić kurs żeglarski.

- Interesuje mnie to tylko teoretycznie. Nie zamierzam kupować sobie jachtu.

Odwróciła wzrok i spojrzała znowu na morze. Wiatr przybrał na sile i zrobiło się przenikliwie zimno. Nie była pewna, czy przyniosło jej to ulgę. Milczeli dość długo, wciąż nie ruszając się z miejsca, w końcu Kate odezwała się pierwsza:

- Skąd pan właściwie wie, dokąd płyniecie? Używacie nadal sekstansu i tego typu rzeczy?

- Zależnie od nastroju. - Widząc zmarszczone czoło Kate, roześmiał się cicho i dodał: - Marny wszelkie nowoczesne urządzenia. Radio, krótkofalówkę, radar, echosondę. Może chce je pani zobaczyć?

- Czemu nie?

Uświadomiła sobie, że popełniła błąd, dopiero wtedy, gdy oddała ster uśmiechniętemu matowi i podążyła za Jackiem do zagraconej kabiny. Znowu miała uczucie, że wpadła w pułapkę. Pogłębiało się ono coraz bardziej, odkąd weszli razem do pełnego ekranów i map ciasnego pomieszczenia, skąpanego w poświacie czerwonego światła zachodu.

- Co to? - spytała, wskazując niewyraźne punkciki na ekranie radaru.

- Jakieś niewielkie wyspy. Albo ogromne węże morskie - odparł, przybliżając głowę do jej pochylonej nad ekranem głowy.

Gdy jej skroń dotknęła nie chcący jego czoła, Kate uznała, że pozostawanie sam na sam z Jackiem Whelanem jest zbyt ryzykowne. I okropnie wyczerpujące, skoro przez cały czas trzeba się zmuszać, by oddychać normalnie. Wymknęła się szybko z kabiny, mówiąc:

- Lubię profesjonalistów. Przy nich czuję się pewniej. Gdy wychodziła na zewnątrz, statek gwałtownie się zakołysał i omal nie upadła. Jack instynktownie wyciągnął rękę, by ją podtrzymać.

- Dziękuję - powiedziała, a potem uśmiechnęła się smętnie. - Zawsze widzi mnie pan w najbardziej niezręcznych sytuacjach. Pewnie pan myśli, że ze mnie niezdarą, wiotki leśny elf. Ale w Detroit nigdy nie tracę równowagi. Tam mam pod nogami twardy grunt.

Jack nie puścił jej ramienia i poprowadził ją po schodkach na pokład.

- Nie ma się czym przejmować - stwierdził z uśmiechem.
- Pływałem już od dziesięciu lat, gdy wypadłem podczas sztormu za burtę. - Wzruszył lekceważąco ramionami. - Po prostu, pokład obniżył się nagle o półtora metra i zsunąłem się wprost do oceanu.

Kate spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Nie żartuje pan?

- Wcale nie - odparł, kręcąc głową. - Wpadłem, jak stałem, w ubraniu i w butach, bez kamizelki ratunkowej, między kilkumetrowej wysokości spienione fale. A moi marynarze nawet tego nie zauważyli i popłynęli dalej. - Prowadząc Kate w kierunku mesy, pokręcił głową, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że żyje. - Myślałem wtedy, że już po mnie. Trzy razy zanurzyłem się w wodzie, a znikąd nie nadchodziła pomoc.

Kate przystanąła, zmuszając go, by również się zatrzymał.

- I jak to się skończyło? Jack czekał na to pytanie.

- Utonąłem - odparł z zawadiackim uśmiechem. Dla większego efektu zamierzał ruszyć dalej, gdy Kate, nie tracąc rezonu, przytrzymała go i odparła równie beztrzesko:

- Dzięki Bogu! Już myślałam, że zdarzyła się jakaś tragedia.

Jack wybuchnął głośnym śmiechem i poprowadził ją schodami do mesy. Nawet nie próbowała mu się sprzeciwiać. Od dawna już nie czuła tak przyjemnego podekscytowania. Dopiero gdy znaleźli się w końcu w pustym pomieszczeniu, czar prysł, a stało się to w chwili, kiedy ujrzała leżące nadal na stole książki.

- Co pani sądzi o „Gwieździe Karaibów”? - zapytał Jack, gdy nalali sobie po filiżance kawy.

- Podoba mi się - odparła, zamykając z poczuciem winy opasły podręcznik, a potem odsuwając go na bok. - Oaza spokoju.

- Oaza spokoju? - powtórzył Jack ze sceptycznym uśmiechem. Wskazał głową na drzwi, zza których dobiegały odgłosy szampańskiej zabawy. - Słyszysz to pani?

- Och, niech pan nie przesadza. Powinien pan wiedzieć, że nasze biuro znalazło się na czarnej liście kontrolerów BHP z powodu przekroczenia dopuszczalnego poziomu hałasu. Jest u nas głośniejsze niż na rockowym koncercie.

- Ciekawe. - Pokiwał głową, jakby nie bardzo w to wierzył. Usiadłszy obok Kate, sięgnął po jedną z książek, które przed chwilą zamknęła. - Podręczniki? - zdziwił się. - Chyba nie próbuje pani...

- Owszem - przerwała mu - odrabiam lekcje. Spojrzał na nią surowo.

- W tej oazie spokoju? To niedopuszczalne. Odebrała mu książkę i odłożyła na bok.

- Niektórzy z nas muszą wrócić do normalnego świata - przypomniała mu z westchnieniem, a potem dodała, porzucając żartobliwy ton: - Naprawdę muszę popracować. Niedługo mam egzaminy.

- Kapitan mógłby pani zakazać takiej społecznej działalności. Jego słowa są na statku święte.

- Ale tego nie robi - dodała z uśmiechem.

- Pewnie nie. - Jack wypił łyk kawy. - O wiele przyjemniej będzie nakłonić panią, by sama z tego zrezygnowała.

Kate nie była pewna, co wyrażało w tym momencie jego spojrzenie, ale przeszedł ją dreszcz, gdy znów ujrzała błysk w stalowoszarych oczach Jacka Whelana. Uzmysłowała sobie dopiero poniewczasie, że spoglądając na nią z rozbawieniem, zaczął machinalnie przeglądać stertę książek. Nagle coś go szczególnie zainteresowało, przyjrzał się temu czemuś bliżej i wykrzyknął triumfalnie:

- Aha! Jest! Wiedziałem, że za tą obowiązkowością coś się kryje.

Zanim Kate zdążyła zaczerpnąć tchu, już przerzucał kartki szkicownika, unosząc brwi z nieukrywanym podziwem.

- Niesamowite - powiedział jakby do siebie. - Leśna nimfa jest artystką. I żeby było jeszcze ciekawiej, trzyma to w sekrecie.

- Leśna nimfa jest kontrolerem finansowym. A to jedynie moje alter ego - wyjaśniła niemal przeproszającym tonem. - Wypijam szklaneczkę rumu i czuję się wtedy jak Pablo Picasso.

Jack spojrzał na nią i zmarszczył czoło.

- Dlaczego ukrywa pani swój talent?

- Nie ukrywam - wzruszyła ramionami z udawaną nonszalancją - poza tym co to za talent? Rysuję sobie po prostu. To pewnie dlatego że jestem leworęczna. Podobno osoby leworęczne często mają twórcze zapędy.

- Doprawdy? - Pokiwał głową z rozbawieniem. - Sądziłem, że uważa się nas raczej za wariatów.

- Na jedno wychodzi.

Jack spojrzał na nią i zobaczył w jej oczach dziwny smutek. Domyślił się, że od lat ukrywa w duszy swe prawdziwe pragnienia, tęsknoty i pasje. W tym jej krystalicznie czystym spojrzeniu widział ból podobny do tego, jakiego on sam doznawał kiedyś wśród zalesionych wzgórz Kentu. Cierpiałby tak samo jak ona, gdyby nie ocalił go Nathaniel.

- A, tutaj jesteś, Jack!

Odwrócili się oboje raptownie w stronę drzwi i ujrzeni stojącą w drzwiach wysoką, postawną blondynkę. Widząc lodowate, drwiące spojrzenie nieznanym, Kate nazwała ją natychmiast w myślach Królową Śniegu. Kobieta podeszła

nieco bliżej, zdając się całkowicie ignorować jej obecność, i odezwała się obrażonym tonem do Jacka:

- Bawimy się od trzech godzin, a ty się nawet nie pokazałeś!

- Mam wachtę - przypomniał jej, podnosząc do ust filiżankę kawy. - Nie mogę pić.

- Ale możesz tańczyć.

- Z pewnością - przytaknął z uśmiechem.

Na twarzy blondynki zagościł wyraz triumfu. Przynajmniej do chwili, gdy Jack zwrócił się znowu do Kate:

- A więc do jutra?

- Chodzi panu o tę lekcję? - domyśliła się szybko.

- Mhm.

- Jeśli jutro będziemy już na miejscu...

- Z pewnością. Jesteśmy bardzo blisko.

- Dobrze, przyjdę - obiecała Kate, choć wcale nie była pewna, czy postępuje słusznie.

Jack znowu się do niej uśmiechnął, blondynka wyszła bez słowa z mesy, a Kate zgarnęła ze stołu odłożony na chwilę szkicownik.

- Masz talent, moja nimfo - powiedział Jack, zanim ją opuścił. - Nie zmarnuj go. Szkoda by było.

Kate wpatrywała się w drzwi, nasłuchując dochodzących z zewnątrz wybuchów śmiechu i dźwięków perkusji. Myślała o wymownym spojrzeniu, którym Jack ją pożegnał, myślała o jego słowach. I była jeszcze bardziej podekscytowana niż wtedy, kiedy siedział obok niej. Była też pewna, że trudno jej będzie doczekać świtu.

Kiedy to po raz ostatni czekała z utęsknieniem na kolejny dzień? Kiedy rumieniła się pod męskim spojrzeniem? Kiedy serce podeszło jej do gardła, gdy mężczyzna tak zwyczajnie i naturalnie przeszedł na „ty”?

„Masz talent, moja nimfo...”

Czy była jego nimfą? Roześmiała się, rozbawiona i zażenowana podobnym stwierdzeniem. A jednak sprawiło jej ono przyjemność, nie mogła temu zaprzeczyć. W ogóle zaznała już wiele przyjemności w czasie tego rejsu. Pałace słońce, fascynujące kolory, lazurowa woda - w tym pogodnym świecie tak łatwo było zapomnieć o rzeczywistości. Nigdy przedtem nie wyjeżdżała z Michigan ani nawet nie widziała oceanu, dopóki samolot nie okrążył Miami. I oto znalazła się nagle na skrzypiącym żaglowcu, gdzie można było czuć się dzieckiem i nie przejmować się niczym. W tym miejscu rzeczywistość została wzięta w nawias, więc czy warto tak kurczowo się jej trzymać? Czemu nie zaznać, dla odmiany, smaku przygody?

Co wadziło na przykład cieszyć się względami przystojnego mężczyzny albo zamienić na kilka dni podręczniki na szkicownik, aby wskrzesić pasję, którą tak starannie ukrywała, poświęcając się bez reszty pracy? Może Betty, Jack, Samantha mają rację? Tydzień w krainie fantazji naprawdę nie powinien jej zaszkodzić.

Zamknęła książkę zdecydowanym ruchem i wyszła na pokład. Poczowała, jak drży z tłumionej emocji. Od dawna już nie postępowała tak nierozważnie.

- Gdzie są wszyscy?

Kate rozejrzała się ponownie po pustym nabrzeżu, gdzie czekał na nią tylko Jack. Wzruszył ramionami ze zdawkowym uśmiechem, wskazując na stojącą nieopodal taksówkę.

- Nikt inny się nie zgłosił.

Kate nie ruszyła się z miejsca, spojrzał więc na nią pytająco.

- Rozmyślałaś się?

- Nie. A czy ty zaprosiłeś kogoś oprócz mnie?

- Nie.

Chciało jej się śmiać. Zamartwiała się przez całą noc, czy nie zrobi z siebie idiotki przed Królową Śniegu, a tymczasem powinna była się obawiać zupełnie czego innego.

- Nic więc dziwnego, że nikt się nie zgłosił - powiedziała.

- No właśnie, nie rozumiem, dlaczego byłaś taka zdziwiona - Jack uśmiechnął się do niej figlarnie. - Skoro zaprosiłem tylko ciebie, to nie mamy na co czekać. Wsiadajmy do taksówki i jedźmy.

Zanim zdążyła zaprotestować, wziął ją za rękę i zaprowadził do starego samochodu. Za kierownicą pojazdu siedziała tęga czarnoskóra kobieta, która najwyraźniej dobrze знаła kapitana Whelana.

- Czy to porwanie? - zapytała Kate, nie mogąc powstrzymać śmiechu, gdy prowadząca pojazd Filomena skrzyła w kierunku miasta.

- Jakie porwanie? - Jack spojrzał na nią z miną niewiniątka. - Zamierzam uczyć cię nurkowania.

Kate przeczesła instynktownie palcami włosy. Robiła tak zawsze, kiedy chciała się uspokoić.

- A nie mogłeś mi wcześniej powiedzieć, że będziemy sami? Pokręcił głową, udając zdziwienie.

- Jak na elfa słabo znasz się na czarach. I w ogóle nie umiesz czytać ludzkich pragnień.

- Jeśli nie przestaniesz nazywać mnie elfem, zamienię cię w ropuchę.

Filomena zwolniła, skręcając w Island Road, lecz Jack nie zwracał uwagi, dokąd jadą. Patrzył cały czas na Kate. Czują jego spojrzenie, gorące jak promienie słońca przenikające przez korony drzew.

- Kiedy ty naprawdę jesteś elfem - zaprotestował, nadając głosowi łagodne brzmienie. Dotknął włosów Kate, jakby magnetycznie go przyciągały. - Widziałem twoją podobiznę w książce z bajkami. Miałaś skrzydełka jak ważka i tańczyłaś na

polnych kwiatach. A może znasz głębokie jezioro, w którym spoczywa miecz Ekskalibur?

Kate siedziała nieruchomo, zastanawiając się, gdzie zniknął żartobliwy, drwiący ton jego głosu i nie bardzo wiedząc, co ma oznaczać ten nowy, czuły, żarliwy, uwodzicielski. Wiedziała, że powinna się uśmiechnąć i znów obrócić wszystko w żart, ale dotyk jego palców pozbawił ją jakoś poczucia humoru, a natarczywe spojrzenia obudziły w niej rozkoszne dreszcze.

Zaprzagnęła nagle, by dotknął ją całą dłonią. Chciała poczuć ciepło jego skóry. Chciała go przy sobie zatrzymać. Pochwyciła jego spojrzenie i zakreśliło jej się w głowie - oczy Jacka kusily i składały obietnice, dodawały śmiałości i prowokowały, zapraszały i zniewalały. Te oczy mogły ją zahipnotyzować, zaczarować. Już zaczarowały.

Miasto ustąpiło miejsca plantacjom palm, rosnących rzędami wzdłuż drogi. Światło, sączące się przez ich zawieszane wysoko liście, rzucało cienie na bajecznie kolorowe domy i wielobarwne kwiaty, które opadały kaskadami z płotów i ścian. Kate odwróciła wzrok do okna i próbowała wzbudzić w sobie zachwyt dla oglądanych widoków. Były niezwykle, to prawda. Ale jeszcze bardziej niezwykle rzeczy działały się w jej sercu.

- To piękne miejsce - mruknęła. Pomyślała, że czas zatrzymał się chyba na tej wyspie jak statek na przystani. Nie było tu pór roku, mediów, publicznej komunikacji. Tylko drogi, wijące się leniwie wśród bezkresnych zielonych gór i wiecznie kwitnących kwiatów. Rzeczywistość, z której Kate wyrwała się na tydzień, wydawała się tutaj jeszcze bardziej odległa. A dzień, który miała spędzić z Jackiem, zdawał się nierealny jak sen. Uświadomiła to sobie i natychmiast poczuła potężny przyływ nadziei - i lęku.

- Wyspa Nevis jest moim drugim domem - stwierdził Jack, podążając za wzrokiem Kate. - Prawda, Filomeno?

Siedząca za kierownicą Murzynka uśmiechnęła się do lusterka.

- Kiedy ktoś chce uciec od wrzawy na St. Maarten - powiedziała - przyjeżdża do nas. Dobrze tu Jacka traktujemy.

- Na St. Maarten jest dla was zbyt głośno? - Kate nie mogła powstrzymać pełnego zdumienia śmiechu.

- I to jak! - Filomena pokiwała głową. - Wszyscy strasznie się tam spieszą.

Jack uścisnął ramię Kate.

- Musisz przestać nakręcać swój zegarek. Nie warto. To inny świat.

- Chyba masz rację - westchnęła, a potem przytuliła policzek do jego dłoni. Niech się dzieje co chce, pomyślała. Jeśli to sen, to niech przynajmniej będzie piękny i kolorowy.

Gdy tylko wślizgnęła się do wody, przekonała się, że jej sen mieni się najpiękniejszymi kolorami, jakie tylko można sobie wyobrazić. Jack nauczył ją szybko podstaw nurkowania, a potem poprowadził za rękę między fale. Zanurzyli się pod wodę i dopiero teraz Kate zrozumiała, dlaczego tak bardzo mu zależało, żeby pokazać jej ten świat pełen cudów.

Unosiła się swobodnie, dryfowała w przezroczystej wodzie, podziwiała bajkowy pejzaż i nie mogła się nadziwić, jak wielkie bogactwo kształtów i barw kryją w sobie morskie głębiny. Odkrywała pastelowe kolory koralowców, wyciągających do niej swe grube macki lub skulonych jak głowy kalafiorów. Wielobarwne koronki koralu falowały w rytm przyływu, a niewidzialny nurt wprowadził w ruch kobierzec wodorostów. Spostrzegła nagle rybę, która śmignęła obok niej. Po chwili było ich już kilka, a potem setki. Minęły ją jak deszcz meteorów. Rozbawiło ją, że ich błękitne ubarwienie jest bardziej intensywne niż kolor pasków na jej

kostiumie kąpielowym. Kiedy ryby zniknęły w rafie koralowej, popłynęła za nimi.

Jacka cieszył jej zachwyty. On sam nurkował od dziesięciu lat i nigdy nie znudziły mu się podwodne widoki. Zobaczywszy teraz, jak bardzo Kate jest zafascynowana nową przygodą, odnalazł w jej zachwycie swoją dawną pasję. Przypomniawszy sobie czasy młodości, kiedy to po raz pierwszy zakosztował smaku nurkowania na Karaibach. Było to jak przyglądanie się dzieciom, rozpakowującym prezenty w Boże Narodzenie i przywołującym w ten sposób wspomnienia z dzieciństwa.

Zadziwione, radosne spojrzenie Kate widać było nawet pod maską. Gdy zaś się wynurzyła, a on wypłynął na powierzchnię obok niej, uśmiechała się, jakby nic więcej nie trzeba jej było do szczęścia.

- Jak ci się podobało? - zapytał.

- Czy tu zawsze jest tak pięknie? - odpowiedziała pytaniem, odgarniając z czoła mokre włosy.

- Oczywiście, że nie zawsze. Jeśli chcesz wiedzieć, kazałem to zaaranżować specjalnie dla ciebie.

- Hm, twoja kolekcja rybek wygląda imponująco.

- Skoro tak uważasz, powinnaś zobaczyć kolekcję muszli i koralowców.

Wyciągnął do niej rękę, a ona zawahała się przez moment, jakby walcząc ostatkiem sił z pokusą. Po chwili z oczu Kate zniknęła niepewność. Zaśniły promiennie, gdy podała mu rękę i zanurzyli się ponownie w fale. Wtedy właśnie Jack uległ bez reszty czarom leśnej nimfy.

Rozdział 4

Popijając leniwie gin z tonikiem, Kate rozglądała się z zaciekawieniem po ulubionej restauracji kapitana Whelana. W pomieszczeniu o bielonych ścianach i wypolerowanej do połysku drewnianej podłodze stało sześć stolików, a osadzone głęboko w murze okna zdobiło kilka zaniedbanych roślin. Niewielki, obskurny bar w sąsiedniej sali był miejscem spotkań angielskich emigrantów.

Pograżam się coraz bardziej, dziadku, pomyślała z przekąsem Kate. A obiecywałam ci, że nigdy nie zakocham się w Angliku. Wszyscy irlandzcy powstańcy z klanu Manionów muszą teraz przewracać się w grobach.

To tylko kaprys, dziadku, ciągnęła dalej w duchu swą przemowę, czekając, aż Jack wróci z toalety. Nie można przecież winić przyzwoitej w gruncie rzeczy Irlandia, że chce sobie trochę pofantazjować. Pofantazjuje i przestanie. Umie przecież stać twardo na ziemi.

Żal, jaki Kate odczuwała na myśl o tym, że ten cudowny dzień właśnie się kończy, przeczył jej stanowczym zapewnieniom. Gdyby chodziło tylko o kaprys, nie czułaby tego rozdzierającego bólu w sercu i nie miałaby ponurego wrażenia, że już nic piękniejszego w jej życiu się nie zdarzy. Zostaną mi wspomnienia, pomyślała. Piękne wspomnienia. A może je utrwale, przeniosę na płótno?

Tak naprawdę dręczyło ją jednak co innego. Rafa koralowa mogła zaczekać na jej powrót. Któregoś lata wygospodaruje może znowu tydzień wakacji i wróci w to miejsce. Z Jackiem sprawa wyglądała inaczej.

Była zdumiona, że od początku tak dobrze się rozumieli. Już na statku obcowanie z nim sprawiało jej przyjemność, a to, co przeżyła dzisiaj, było doświadczeniem zupełnie niezwykłym. Płynęli ramię przy ramieniu, pokazując sobie cuda morskich głębin i wymieniając pełne zachwyty

spojrzenia. Szybowali jak we śnie, podziwiając fascynującą panoramę, dostępną tylko ich oczom. Jack wyglądał bosko w samych tylko kąpielówkach.. Płynął lekko, bez wysiłku, szczupły, zwinny, smukły. Zaczęła się zastanawiać, czy mogłaby przedstawić go na akwareli, z całą grą światłocieni, z oczami roześmianymi pod maską...

- Wyglądasz, jakbyś połknęła kałamarnicę. Podniosła wzrok, wyrwana z zamyślenia.

- Myślałam właśnie, jak wyglądałbyś na moim obrazie.

- Aż tak ze mną źle? - powiedział, siadając z powrotem na krześle.

Roześmiała się, rozbawiona jego słowami.

- Moja mina wyrażała skupienie.

- Aha.

- Mylisz koncentrację z wyrazem zdegustowania, Jack. A co do tego obrazu, to myślę, że gdybym podretuszowała trochę twój wizerunek, wypadłbyś całkiem nieźle.

- Dzięki - stwierdził kwaśno. - Liczę na dalsze komplementy.

- Proszę bardzo.

- Więc gdzie go masz?

Kate spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

- Co takiego?

- Szkicownik - odparł, unosząc do ust butelkę piwa. - Miałem nadzieję, że pokażesz mi swoje rysunki. Ty zobaczyłaś moją kolekcję ryb, liczę więc na rewanż.

- Przykro mi - mruknęła, nadgryzając kanapkę z homarem i brudząc sobie tłuszczem palce. - Nie przyniosłam szkicownika. Zresztą już go widziałeś.

- Tylko rzuciłem okiem. Chcę dokładniej obejrzeć te szkice.

- Po co?

- Intryguje mnie, dlaczego Picasso zostaje urzędnikiem.

- To proste. Uprowadziła mnie kiedyś banda wędrownych buchalterów.

Jack chrząknął wymownie.

- Mówię poważnie - powiedział, choć w jego oczach wciąż się tliły wesołe iskierki. - Dlaczego marnujesz swój talent?

- Malowanie to tylko hobby. - Wzruszyła ramionami. - A żeby żyć, trzeba pracować. Pracuję więc, a na malowanie pozwalam sobie w wolnych chwilach.

Tym razem Jack spowaźniał na dobre.

- Kłamiesz jak z nut, Kate Manion - powiedział, zaskakując ją tym bezpośrednim stwierdzeniem.

Znieruchomiała. Wciągają mnie ruchome piaski, pomyślała, ogarnięta nagłą paniką. Już się z nich nie wydostanę.

- Mówiłam ci już - oznajmiła z lęklwym uśmiechem. - To moje alter ego. Twórcza strona osobowości.

Jack wcale się nie uśmiechał. Patrzył na nią twardym, nieustępliwym wzrokiem. Takiego go jeszcze nie znała.

- Dlaczego ukrywasz swoje zdolności? - powtórzył, choć znał odpowiedź na to pytanie. Miał żal do rodziców Kate, że kiedyś spętali jej skrzydła.

- Nie maluję tak dobrze, jak Picasso, Cassatt czy Gauguin - westchnęła. - Robię to dla przyjemności. Poza tym jest coś takiego, jak odpowiedzialność, zdrowy rozsądek, praktyczne podejście do życia.

Zobaczyła, że jego szare oczy ciemnieją jak niebo przed burzą. Miała wrażenie, że osacza ją wzrokiem. Chciała się cofnąć, a nawet uciec. Była tak tym przejęta, że nie spostrzegła, że do ich stolika przytoczył się jakiś tęgi człowieczek, ratując ją nieświadomie z opresji.

- Cześć, Jack - odezwał się wesoło. - Widzę, że znowu cię tu przygnało?

Jack przywitał się z przyjacielem, Kate odetchnęła z ulgą. Nie zniosłaby dłużej niemego oskarżenia w jego spojrzeniu. Co najgorsze, Jack miał rację.

- Czy to twoja aktualna narzeczona?

- Niestety, przyjacielu, panna Manion przyjechała tu tylko na tydzień. Na wakacje.

- Szkoda - westchnął smętnie nieznajomy.

Kate przywitała się z nim i przyjrzała mu się dokładniej. Był smagły, krepy, miał uśmiech pirata i skórę ozdobioną całą kolekcją tatuaży. Jack nie potrzebował nawet wyjaśniać, że Nathaniel, bo tak mu było na imię, służył kiedyś w marynarce. Teraz prowadził razem z żoną restaurację, stanowiącą - jak wszystko na to wskazywało - centrum lokalnej brytyjskiej społeczności.

- Uważaj na niego, panienko - ostrzegł Nathaniel, mrugając porozumiewawczo do Kate. - On lubi kobiety. I większość z nich odwzajemnia jego uczucia.

Jack nie przejął się najwyraźniej tymi pomówieniami.

- Dzięki za reklamę, Nathanielu.

- Zawsze do usług. Troszczę się tylko o bezpieczeństwo dam.

Gdy Nathaniel wrócił po kilku minutach do baru, Kate czuła się jak po dobrym masażu brzucha. Właściciel restauracji miał niewyparzony język i szafował hojnie pikantnymi komentarzami, śmiała się więc przy nim co chwila. Nikogo nie oszczędzał, ale też nikt się na niego nie obrażał. Ubawiła się w ciągu kwadransa bardziej niż przez ostatnich sześć miesięcy.

- Gdzie go znalazłeś? - zapytała Jacka, ocierając oczy chusteczką.

- To raczej on znalazł mnie - przyznał Jack z tajemniczym uśmiechem. - Załatwił mi pracę na „Gwieździe Karaibów”.

Kate uniosła brwi.

- Czy to on jest tym Cyganem albo Wikingiem?

- Bynajmniej. Spotkałem go pewnego dnia, gdy jako chłopak włóczyłem się po porcie. Nathaniel był bosmanem. Nauczył mnie wielu rzeczy. Opowiadał mi nie tylko o statkach - dodał z uśmiechem. - Dostałem kiedyś lanie, gdy powiedziałem przy kolacji, że znowu jemy „tę pieprzoną baraninę”. Ojciec nie tolerował tego rodzaju języka u siedmiolatka.

- A czym się zajmowałeś, zanim dostałeś tę pracę? - zapytała, zaintrygowana nagle jego przeszłością.

- Niczym szczególnym.

Spojrzała na niego z wyrzutem. Uważała, że zasługuje na szczerą odpowiedź. Oczywiście, domyśliła się od razu, że chodzi o jakieś niezbyt przyjemne doświadczenia, ale przecież rozmawiali dotąd jak przyjaciele i doskonale się rozumieli. Może jednak był naiwna?

- Zawsze mogę zapytać Nathaniela - ostrzegła. - Jego relacja byłaby na pewno bardziej szczegółowa.

- Jedz kanapkę. Nathaniel zrobił ją specjalnie dla ciebie.

- Najpierw odpowiedz na moje pytanie. Co to za tajemnica, że nie chcesz o niej mówić? Byłeś szpiegiem? Płatnym mordercą? Zdefraudowałeś pieniądze w miejscowym banku? Szantażowałeś jakiegoś prominenta?

Tym razem Jack popatrzył na nią wilkiem.

- Nic z tych rzeczy. Pracowałem w fabryce należącej do mojej rodziny.

- Cóż w tym złego? - spytała Kate, kończąc wreszcie swoją kanapkę.

- Nic - odparł Jack. - Po prostu po paru latach stwierdziłem, że nie nadaję się do tej pracy.

- Za mało w niej romantyzmu? - Znowu wpadła w żartobliwy, lekki ton, ale Jack prychnął pogardliwie:

- Nie jestem romantykiem!

Kate zmarszczyła brwi, a potem poszukała wzrokiem Nathaniela, który obserwował ich z boku i zdaje się, że podsłuchiwał nawet ich rozmowę. Ujrawszy, że ma on najwyraźniej inne zdanie na temat natury Jacka niż sam Jack, uśmiechnęła się i rozpogodziła.

- Właściwie masz rację - oznajmiła, nie zrażona ponurą miną swego rozmówcy. - Cóż bardziej prozaicznego niż zostać kapitanem zabytkowego żaglowca.

Tym razem Nathaniel nie wytrzymał i jego gromki śmiech zabrzmiał echem wśród bielonych ścian.

- Uważaj na nią, Jack! - zawołał ze stołka przy barze. - Jeszcze trochę, a przyszpili cię do ściany jak motyla!

- Będzie teraz ze mnie drwił do końca życia - stwierdził Jack, niby wciąż niezadowolony, ale już wyraźnie w lepszym humorze.

Jednak Kate nie miała zamiaru porzucić niewygodnego tematu.

- Sam chciałeś tu przyjść. Mówiłeś, że mamy do pogadania Westchnął, pociągnął z butelki łyk piwa, a potem odparł, kręcąc głową:

- Gdybym miał trochę rozsądku, zrezygnowałbym z takich pomysłów. Moja leśna nimfa jest cholernie uparta. Wszystko chce wiedzieć.

Kate uśmiechnęła się do niego szeroko, oblizując palce z sosu czosnkowego. Miała twarz łobuziaka, ale w niewinnym spojrzeniu jej błękitnych oczu dostrzegł zmysłowość kobiety, która zna swoje atuty i potrafi je wykorzystać.

- Nie przejmuj się - powiedziała, poklepując go po dłoni - nie powiem nikomu, czego się o tobie dowiedziałam. Jak ktoś mnie spyta, co robiliśmy przez cały dzień, powiem, że dyskutowaliśmy o notowaniach z Wall Street, opalając się na rozgrzanym piasku.

Jack skrzywił się z niesmakiem.

- Możliwe, że ci uwierzą. Zdaje się, że maklerzy nie są zbyt romantyczni.

- W żadnym wypadku. Ani maklerzy, ani kontrolerzy. Najbardziej romantyczną czynnością, jaką wykonuję, jest sprawdzanie kursu francuskich franków.

Jack nachylił się ku niej i ujął jej dłoń.

- W takim razie - zauważył, muskając delikatnie kciukiem jej palce - jesteś kiepskim kontrolerem. I nie będziesz dobrym maklerem.

- Dlaczego? - spytała, zaskoczona jego słowami i rozbrojona delikatnym dotykiem jego dłoni.

- Bo ani makler, ani kontroler nie wzrusza się do łez, słuchając starych przebojów. I nie uśmiecha się z radosnym zachwytem na widok ławicy ryb. Makler nie marnowałby też czasu i pieniędzy na malowanie - dodał, a wtedy w jej oczach zapalił się ogień. Gniewu? Wdzięczności? Namiętności? Och, było w niej wszystko naraz i dlatego tak bardzo go fascynowała.

Kate nie wierzyła własnym uszom. Zamiast złości ogarnęło ją radosne podniecenie. To, co usłyszała, nie było może dla niej zbyt miłe, bo odsłaniało smutną prawdę, że Kate Manion robi finansową karierę wbrew sobie. Ale znacznie ważniejsze było w tej chwili to, że Jack tak łatwo doszedł tej prawdy. Skąd on to wszystko wiedział? Jakim cudem odkrył tajemnicę, której nie znał nikt poza nią samą?

Wobec takiej przenikliwości czuła się bezbronna i bezradna. Ten człowiek w ciągu kilku dni poznał ją lepiej niż ludzie, z którymi była zaprzyjaźniona od lat!

- Tak, prawdziwy makler prędzej dałby się wychłostać, niż zasiadł z ołówkiem na wprost zachodzącego słońca - powiedziała, z trudem skrywając podniecenie.

- No to dlaczego chcesz nim zostać? - zapytał, gładząc teraz wnętrze jej dłoni.

- Już ci mówiłam.

Brakowało jej tchu. Bała się tego, co za chwilę miało nastąpić, i jednocześnie za tym tęskniła. Nie mogła przestać myśleć, że Jack za chwilę nachyli się jeszcze bliżej i ją pocałuje.

- A co takiego czeka cię w Detroit?

Nic, miała ochotę odpowiedzieć. Tylko praca, której mam dosyć, ojciec i siostry, nie potrafiące się beze mnie obejść, małe mieszkanie, do którego zdążyłam się przyzwyczaić. I sarta obrazów, których nigdy nikomu nie pokazuję.

- Rzeczywistość - powiedziała na głos.

- Więc to wszystko tutaj jest nierzeczywiste? Pokręciła powoli głową.

- To miejsce, do którego można uciec przed codziennymi stresami. Czasowa przystań. Prawdziwy świat zaczyna się na lotnisku w Miami.

- Krzywdzisz tą opinią wielu ciężko pracujących tu ludzi - stwierdził z rozbawieniem Jack. Jego kciuk odnalazł wrażliwe miejsce na przegubie Kate, gdzie zbiegały się delikatne niebieskie żyłki. Wyczuwszy puls, ucisnął lekko żyłę, a Kate drgnęła i cofnęła gwałtownie rękę.

- Przestań!

- Dlaczego?

- Bo ty też jesteś nierzeczywisty.

Zamilkli oboje, lecz nie przestali patrzeć sobie w oczy. Serce Kate waliło jak młotem. Nie chciała, by Jack to zauważył. Nie wiedziała, czy rzeczywiście nie zorientował się, jak jest spięta i podniecona, czy też litościwie postanowił darować jej kolejne kłopotliwe pytania. Tak czy inaczej, odetchnęła z ulgą, kiedy wrócił do dawnego tonu i powiedział:

- To będzie cios dla moich rodziców. Poświęcili mnóstwo czasu i pieniędzy, żeby mnie wychować, a tu proszę, jestem nierzeczywisty.

- Sądysz, że będą zaskoczeni? - Kate podjęła drwiącą nutę w jego głosie. - Wiem coś o fabrykantach. Zdaje się, że są dalecy od tego, by uznać przystojnego kapitana żaglowca za prawdziwego człowieka z krwi i kości.

- Słuszna uwaga. Tylko dlaczego ty podzielasz ich zdanie?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Pamiętasz, ile dni jestem na tym statku?

- Trzy. Dlaczego pytasz?

- A ile jeszcze zostało?

- Też trzy.

- No właśnie. Moja matka zawsze mi powtarzała, żebym w żadnym wypadku nie ulegała mężczyźnie, jeśli znam go krócej niż pół roku.

Kate sądziła, że Jack będzie speszony tym oświadczeniem, ale on znów ją zaskoczył.

- Zamierzasz mi ulec? - zapytał spokojnie. Uśmiechnęła się i oparła plecami o krzesło.

- Trudno nie brać tego pod uwagę, skoro obmacujesz mi przegub, jakby był ścianą z ukrytym schowkiem.

- Traktuję go raczej jak dzieło sztuki. A tak w ogóle - dodał z kwaśnym uśmiechem - jesteś nadzwyczaj szczerą, Kate.

- Chyba niepotrzebnie - westchnęła. - Zostały mi jeszcze tylko trzy dni w raj. Szkoda by było je zmarnować.

Jack pokiwał powoli głową, potem podniósł do ust butelkę i dopił jednym haustem resztę piwa.

- Nasza rozmowa zeszła na nieoczekiwany temat - powiedział. - Spodziewałem się raczej, że będziemy snuć wspomnienia z dzieciństwa. Czy nie uważasz, że powinniśmy w tej sytuacji wyjść na zewnątrz? Zwłaszcza że Nathaniel ma szczególne skłonności do podsłuchiwania. Prawda, przyjacielu?

- A jakże! - Nathaniel, siedzący nadal na stołku przy barze, skinął skwapliwie głową.

Kate przyjęła pomocną dłoń Jacka i wstała z miejsca. Wyszli na zewnątrz, gdzie morski pasat wiał między budynkami, targając drzewa. Niósł upojne zapachy, rozwiewał im włosy, chłodził rozpalone policzki. Jack szedł obok niej w milczeniu, wciąż trzymając ją za rękę, wreszcie odezwał się cicho i niepewnie, jakby nie wiedział, czy wybrał odpowiedni moment:

- Nie wracaj do domu, Kate.

Zadrżała i zatrzymała się w pół kroku, bowiem usłyszała wypowiedziane głośno to, co legło się właśnie w jej głowie.

- Słucham? - zapytała. Uśmiechnął się i zajrzał jej w oczy.

- Zostań ze mną jeszcze przez jakiś czas. W przyszłym tygodniu zaczynam urlop, nie mam żadnych planów...

W każdym razie nic takiego, czego nie dałoby się odwołać, dodał w myślach.

- Nie wiem, Jack - odparła stłumionym głosem. - Dobrze się zastanów. Znamy się dopiero trzy dni.

- To ty stwierdziłaś, że nie ma czasu do stracenia.

- Właściwie nic o mnie nie wiesz.

- Wiem, że od dzieciństwa nie patrzyłem na świat z takim zachwytem jak teraz, kiedy jesteś obok mnie. Wiem, że delektuję się tobą i nie przestaję cię podziwiać. I wiem, że pragnę cię bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Zanim zdążyła zareagować, wziął ją w ramiona i przyciągnął mocno do siebie. Upuściła torebkę, uwieczona w żelaznym uścisku, a on przyłgął ustami do jej warg. Dotyk jego silnych, zmysłowych palców przyprawiał ją o dreszcze. Uniosła instynktownie głowę i odwzajemniła zachłanny pocałunek. Upajała się jego zapachem i smakiem. Błądziła

dłońmi po muskularnych plecach Jacka i czuła, że spali ją za chwilę płomień namiętności.

Pojeła nagle, że go pragnie. W jej łonie rozgorzał ogień. Przeszedł ją dreszcz rozkoszy i zrozumiała, że jest gotowa oddać mu się choćby w tej chwili. Za sprawą jednego pocałunku zapomniała o wszystkich swoich lękach, obawach i postanowieniach. Gdy zaś uświadomiła sobie, że i on gotów jest na wszystko, po raz pierwszy w życiu poczuła smak ryzyka. Jack był niebezpieczny, nie miała co do tego wątpliwości. Jednym pocałunkiem doprowadził ją do szaleństwa, co więc będzie, gdy pozwoli mu na więcej?

- Opowiem ci pewną historię - rzekł, odrywając się od niej nagle. Przesunął palcem po jej nabrzmiąłych wargach, po czym dodał ze smutnym uśmiechem: - Historię o pewnym człowieku, który był bardzo podobny do ciebie.

Kate zatoneła w jego szarych oczach. Słyszała jego słowa, czuła gwałtowne bicie serca w jego piersi. Wiedziała już, że Jack Whelan rzucił na nią czar.

- Opowiedz - szepnęła.

- W dzieciństwie - zaczął z westchnieniem - ten biedny człowiek chciał za wszelką cenę zostać żeglarzem. W tym wieku sądzi się zazwyczaj, że wszystko jeszcze można osiągnąć. On też tak myślał i marzył o żaglowcach, parowcach, kutrach i szkunerach. Natomiast jego matka uważała, że jest stuknięty. Ojciec pragnął przekazać mu w spadku firmę, a on miał się nią zająć. Żeglować mógł sobie w weekendy, żeby odpocząć od pracy. Gdy ojciec przedwcześnie umarł, chłopak rzeczywiście przejął firmę. Wywiązywał się ze swoich obowiązków sumiennie. Kierował spółką, utrzymywał rodzinę i zgodnie z wolą matki zrezygnował z młodzieńczych marzeń. Ale przez cały czas wisiał u niego na ścianie wiersz Kiplinga o szlaku do Mandalay. Znasz go?

Kate przytaknęła, a Jack pokiwał głową i zacytował z pamięci, wolno wypowiadając poszczególne słowa:

- „Na szlaku do Mandalay / Latająca ryba mknie, / A świt wybucha jak burza sponad Chin i niebo tnie!" . (przekład - Maciej Słomczyński, w antologii „Poeci języka angielskiego", PIW, Warszawa, 1974)

Ten wiersz wyrażał kiedyś najskrytsze pragnienia małego chłopca. Odkąd przeczytał go po raz pierwszy, zawsze chciał zobaczyć takie miejsca, żeglując w przyszłości po oceanach. Kiedy dorósł, powiesił ów wiersz na ścianie w swoim biurze. A swój pierwszy jacht nazwał „Mandalay".

- Co było potem? - spytała Kate, zapatrzona wciąż w jego pełne tęsknoty i bólu oczy. - Co się stało z tym człowiekiem?

Jack uśmiechnął się z trudem.

- Biedaczysko trafił do szpitala z krwawiącym wrzodem. Zdał sobie wtedy sprawę, że ma już trzydzieści trzy lata i wkrótce straci szansę, by zrealizować swe marzenia. Kiedy więc wyszedł ze szpitala, pożeglował jachtem „Mandalay", zabrawszy na drogę tylko wiersz Kiplinga. Zatrudnił się potem jako kapitan na pewnym żaglowcu i nigdy więcej nie spoglądał w przeszłość.

- A co było z jego rodziną?

- Firmę przejęła i prowadzi z powodzeniem jego siostra. Widują się zawsze w czasie świąt.

- Więc wszyscy szczęśliwie sobie żyją?

- Jeśli nie liczyć ataków grypy i podobnych przypadłości, nic strasznego już potem się nie stało.

- Dziękuję, że mi o tym opowiedziałeś - westchnęła rozmarzona i odwróciła wzrok. Nie chciała, by dostrzegł w jej spojrzeniu tęsknotę, a jeszcze bardziej nie chciała, by zobaczył w nim sceptycyzm. Owszem, zazdrościła mu odwagi. I rodziny, która puściła go na morze, kiedy wyszedł ze szpitala. Nie mogła jednak wynieść dla siebie z tej historii żadnej

nauki. Jackowi wolno było żeglować sobie po Karaibach, jej nie. Jej światem było Detroit.

- Zostań tu jakiś czas, Kate - powtórzył swoją prośbę. - Zajmij się znowu malowaniem, odpocznij od stresów.

Nie umiała zdobyć się na rozsądną odpowiedź. Ten rejs nie sprzyjał podejmowaniu racjonalnych decyzji. Uwolniła się delikatnie z objęć Jacka i powiedziała, rezygnując nawet z przyjemności ściskania jego smukłych dłoni:

- Wykorzystam tydzień urlopu, odpocznę od stresów. I zostanę z tobą jeszcze całe trzy dni. A potem wrócę do Detroit.

- Do prawdziwego świata. Skinęła głową, mając łzy w oczach.

- Tak. Nie umiem żyć spontanicznie.

- I nawet mnie nie dasz się namówić?

- Nawet tobie. Chociaż właśnie ty jesteś dla mnie największą pokusą.

- A więc nie wszystko jeszcze stracone. - Ujął jej dłoń i delikatnie ucałował

- Jack... - Cofnęła rękę.

- Och, wiesz, jacy są romantycy. - Puścił ją i podał jej torebkę. - Wierzą do końca, wbrew wszystkiemu. Będę czekał na ciebie co noc na pokładzie.

Skinęła głową, nie potrafiąc zaprotestować.

- Na to chyba mogę się zgodzić.

Nie powiedzieli już nic więcej. Spacerowali w milczeniu, próbując nie myśleć o tym, co będzie, i cieszyć się czasem, który im pozostał.

Rozdział 5

Następnego dnia pasażerów wysadzono na brzeg na wysepce Montserrat, zapewniając ich, że spacer pod górę do Wodospadu Wielkich Alp zajmuje najwyżej dwadzieścia minut. Gdy po upływie tego czasu Kate i Sam nie ujrzały celu podróży, zdały sobie sprawę, że załoga statku musiała mieć na myśli olimpijskich sprinterów.

Wycieczka wydawała się początkowo świetnym pomysłem, zwłaszcza Kate, która starała się unikać Jacka. Przechadzka po tropikalnej wyspie do tajemniczego wąwozu z wodospadem pachniała romantyczną przygodą, pełną emocji i niebezpieczeństw.

Dotarłszy do niewielkiej łąki na skraju kanionu - pokąsane przez owady i posiniaczone wskutek potykania się o korzenie, kamienie, a zapewne także szczątki innych nieszczęsnych wędrowców - zaczęły zastanawiać się, co robić dalej. Wtedy właśnie Kate spostrzegła państwa Brennerów.

Chwyciwszy Sam za ramię, popędziła przez pole.

- Panie Brenner, dobrze się pan czuje? - zapytała, przykucając obok pary staruszków, siedzących pod starym drzewem o pokręconych konarach.

Pan Brenner opierał się o jego pień, ciężko dysząc, blady i mokry od potu. Kate obawiała się, że ma atak serca.

- Stary dureń - burknęła pani Brenner, siedząc obok niego i wachlując mu twarz chusteczką. - Zapomina, że nie ma dwudziestu lat. Uparł się, żeby tym razem wspiąć się na górę.

- Płynęliśmy już tym statkiem... trzy razy... - wykrztusił z trudem staruszek, spoglądając przepaszająco. - Wszyscy mówią... że te wodospady..." są przepiękne.

- A ty masz rozedmę płuc i słabe serce - stwierdziła oschle jego żona. - Powinieneś unikać chodzenia po dżungli. Jesteśmy za starzy na takie rzeczy, ciągle ci to powtarzam.

- Może sprowadzić pomoc? - zapytała Sam, lecz małżonkowie pokręcili głowami.

- Zechciejcie nam tylko towarzyszyć w powrotnej drodze - poprosiła pani Brenner, patrząc wciąż z wyrzutem na męża.

- Do tego czasu zdążymy chyba odetchnąć.

Kate spojrzała na twarz staruszka i dostrzegła na niej rozpacz. Patrzył tęsknie na zielony gąszcz dżungli, zapewne pragnąłby cieszyć się w pełni wycieczką, lecz niestety nie był w stanie. Nie po raz pierwszy zresztą przeżywał zawód z powodu stanu swego zdrowia.

- Może jednak zaczekamy tu razem? - zaproponowała, przysiadając się do nich. - Wolę państwa towarzystwo niż kontynuowanie tej wspinaczki.

- Pewnie - Sam przysiadła obok niej - zaczekamy. Brenner pogroził jej palcem i wykrztusił, jeszcze bardziej zdenerwowany:

- Niech się pani... nie waży! Nie musicie... mnie niańczyć!

- Ja widziałam już ten wodospad - stwierdziła spokojnie Sam. - Poza tym jest tam potwornie gorąco.

- A mnie ukąsiłby pewnie wąż - dodała z uśmiechem Kate. - Nigdy nie mam szczęścia na takich wyprawach.

- Nie! - Staruszek nie dawał za wygraną. Chwył ją zimną dłonią za ramię i powiedział: - Niech pani tam idzie. I zrobi dla mnie... zdjęcie.

Kate nie mogła dłużej go przekonywać wobec tak zdecydowanego oporu. Czułby się jeszcze gorzej, gdyby została. Kiedy więc wcisnął jej do ręki mały aparat fotograficzny, który dostał podobno od dzieci, i poklepał ją po ramieniu jak ukochaną córkę, zgodziła się z uśmiechem:

- W porządku. Zrobię zdjęcie Sam, stojącej pod wodospadem w samym bikini. Specjalnie dla pana.

- Warto będzie zaczekać - uśmiechnął się słabo.

Pan Brenner miał rację. Wodospad wart był trudów wspinaczki. Spieniona woda spadała na tle egzotycznej zieleni z wysokości ponad trzydziestu metrów na dno kanionu i uderzała z hukiem o skały. To tajemnicze miejsce, ukryte głęboko w dżungli, mogłoby być tłem jakiś mrocznych pogańskich obrzędów, pomyślała Kate. Może zresztą kiedyś nim było.

Gdy wróciły na łękę i oddały panu Brennerowi aparat, staruszek wyglądał już o wiele lepiej. Gdyby Kate nie zobaczyła go wcześniej bladego i łapiącego z trudem oddech, nie wiedziałyby pewnie w ogóle, że jest chory. Obraz jego białej jak ściana twarzy i szczerego żalu w oczach zapadł jej jednak głęboko w pamięć i nappełnił serce dziwnym, trudnym do określenia niepokojem.

Tej nocy widziała we śnie wodospad i tęskne spojrzenie pana Brennera. Kiedy się ocknęła, Jack siedział obok niej. Było zupełnie ciemno. Statek skrzypiał, kołysany wiatrem, za to Jack milczał. Nie odzywał się, nie próbował jej dotknąć, ona jednak czuła wyraźnie jego obecność. Siedział w mdłym blasku księżyca, oparty plecami o maszt, wpatrując się w niebo i ocean. Emanował siłą, pewnością i spokojem. Jego twarz opromieniał niewidoczny na ustach uśmiech. Pogodnego oblicza nie chmurzyły wątpliwości, rozterki, niespełnione marzenia.

- Nadal masz wachtę? - zapytała

Spojrzał na nią, nie okazując zdziwienia. Kate poczuła mocne bicie serca. Dlaczego budził w niej takie emocje człowiek, którego znała zaledwie od kilku dni?

- Już śpię - odparł.

- To twoja kajuta? - zapytała z odcieniem drwiny. - Przepraszam, że zajęłam ci miejsce, ale nie wypisałeś na pokładzie swojego imienia.

Jack uśmiechnął się leniwie.

- Jak na czwartą rano masz cięty dowcip.
- Staram się być w formie o każdej porze. Idź lepiej do łóżka.

- Więc się posuń.

Pokręciła głową i machnęła ręką, jakby chciała odpędzić muchę.

- Miałam na myśli twoje łóżko. Rano musisz pracować.

- Muszę też z tobą pomówić.

- Teraz? - Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Dlaczego nie? Czy znajdziemy lepszą okazję? Nie wezmę kolejnego wolnego dnia, żeby ci asystować. Tutaj nie ma przynajmniej żadnych świadków. Oprócz Ronniego, który lubi swoją pracę i nie myśli o niczym innym.

Kate pofatygowała się, żeby usiąść, a potem zapytała:

- Czy zawsze tak postępujesz z kobietami?

Jack uśmiechnął się, dotykając delikatnie włosów, opadających jej na ramiona.

- Właściwie przyszło mi to do głowy dopiero wtedy, gdy zobaczyłem cię śpiącą na pokładzie.

- I jak prawdziwy angielski dżentelmen nie mogłeś zostawić mnie samej. - Kiedy dotknął palcami jej ramion, zadrżała, jakby powiał nagle zimny wiatr. Czuła, że ma nabrzmiałe piersi. Naciągnęła koc na podkurczone kolana. Wolą nie myśleć, jaki kataklizm mogą spowodować jego pieszczoty.

- Co to za Tygrysy?

- Słucham? - spytała zaskoczona.

- Co oznacza ten napis? - Jack wskazał na zbyt luźną podkoszulkę w czarno - białe pasy, którą miała na sobie.

- To drużyna baseballowa. Żółte Tygrysy. Taka nazwa. - Kate nie potrafiła się skoncentrować. Widziała sylwetkę Jacka na tle wiszącego nad widnokretem księżyca. Błądził ręką po

jej ramieniu, sprawiając, że dostawała gęsiej skórki i nie mogła pozbierać myśli.

- Drużyna baseballowa? - powtórzył. - Pewnie z Detroit?

- Jack...

Nie odezwał się więcej. Musnął przez materiał wrażliwą skórę na jej piersiach. Była tym tak przejęta, tak do głębi poruszona, że nie miała siły powiedzieć, by nie zbliżał się do niej i nie próbował jej pocałować.

Pocałował ją. Przyłgął nagle wargami do jej ust i trzymał ją w ramionach, uważając, by nie stoczyli się z pokładu, gdy statek tańczył na falach powolnego walca. Jego rozwiane włosy połaskotały jej policzek, potem szyję. Kate czuła smak soli i ekscytujący męski zapach. Czuła dotyk gorących warg na swojej skórze i była oszołomiona namiętnością, która ogarnęła ją tak gwałtownie.

- Jack, proszę...

I znów sięgnął ustami do jej ust. Kate jęknęła z rozkoszy, a kiedy Jack dotknął znowu jej piersi, tym razem ruchem pewnym i zdecydowanym, poczuła, jak opuszcza ją wola oporu. Czuła się przy nim bezwolna, ociążała, odurzona do tego stopnia, że nic nie było w stanie zmusić ją do protestu. Jack był jak wirtuoz, jednym ruchem dobywający z instrumentu pożądany dźwięk. Kate zaś chciała być tylko instrumentem. Chciała przestać myśleć, wyłączyć obawy, pozwolić mu, by zrobił z nią, co tylko zechce. Drżała, lecz nie było w niej lęku. Instynktownie czuła, że jej nie skrzywdzi. Wzdychała zmysłowo i odchyłała głowę do tyłu. Ale gdy poczuła dłoń Jacka na podbrzuszu, odsunęła się od niego raptownie.

- Podobno chciałeś... porozmawiać - stwierdziła, dysząc ciężko i patrząc na niego półprzytomnym wzrokiem.

- Sądziłem, że się porozumieliśmy - odparł, napięty jak struna.

- Zostałam zniewolona. To nie to samo.

Zaśmiał się cicho, a ona poczuła znowu rozkoszny dreszcz.

- To był jedynie spontaniczny dowód mojej sympatii - stwierdził. - Ale jeśli w ten sposób zdołam cię przekonać, chętnie będę kontynuował.

- Przekonać do czego?

Co za głupie pytanie, skarciła się w myślach. Błysk w jego oczach był aż nadto wymowny. Wyrażał zaproszenie i obietnicę, której tak się obawiała.

- Przekonać, abyś...

- Zapomnij o tym - przerwała mu szybko. - Jeśli chcesz porozmawiać, proszę bardzo. W przeciwnym razie proponuję zimny prysznic. Albo nawet kąpiel w lodowatej wodzie.

- Poczekaj. Zostań. - Nawet się nie poruszył, ale Kate miała wrażenie, jakby wciąż trzymał ją w ramionach.

- Mówiłam ci...

- Anglik nigdy nie akceptuje odmowy. Inaczej nie stworzylibyśmy kiedyś imperium.

- Ujarmiając Irlandię? - zapytała z cierpkim uśmiechem. Chrząknął znacząco i przysunął się bliżej. Przytulił ją ostrożnie, nie protestowała. Czowała, jak jego serce wali z całych sił w szerokiej piersi. Jej łomotało równie mocno.

- Nie sądzisz, że pora zapomnieć dawne urazy?

- Mój dziadek Sean byłby innego zdania - odparła ze słodkim uśmiechem. - Między Anglikami a Irlandczykami nigdy nie będzie prawdziwej przyjaźni.

- Dobrze, zostaw historię i zdradź mi prawdziwy powód.

- Dlaczego nie chcę zostać? - Zamierzała spojrzeć mu w oczy, ale na szczęście się rozmyśliła. - Już ci powiedziałam.

Jack uniósł palcem jej podbródek, by nie mogła odwrócić wzroku.

- Samantha twierdzi, że masz cztery tygodnie zaległego urlopu.

- Posłuchaj, Jack. Nie mogę...

- Nie mogę, nie mogę... - powtórzył z wyrzutem, ściskając ją mocniej. - Mówisz to przez całe życie?

- Nie - odparła. - Po prostu mam swoje...

- Obowiązki.

- Właśnie.

- I zadania.

- Tak, do cholery!

- A co z tobą? - zapytał z gniewem w oczach, kładąc jej dłoń na ramieniu.

- Jak to?

- Co ty z tego wszystkiego masz?

Chciała powiedzieć, że jest szczęśliwa, zadowolona, usatysfakcjonowana. Miała jednak ciągle w pamięci zrozpaczone oczy staruszka, który zbyt długo odkładał na później realizację własnych marzeń. Prześladował ją obraz pana Brennera, siedzącego pod drzewem i patrzącego tęsknie na ścieżkę prowadzącą pod górę. Pod górę, na którą chciał zapewne wejść przez wszystkie lata swojej sumiennej pracy i która stała się nieosiągalna, kiedy wreszcie znalazł się u jej stóp.

- Zastanowię się nad tym - stwierdziła ku swemu zaskoczeniu.

- Tylko proszę, pospiesz się z decyzją - powiedział Jack, całując z wdzięcznością jej dłoń. - Pojutrze dopływamy do St. Maarten.

- Dobrze. Wtedy dostaniesz odpowiedź.

- Potrafisz budować napięcie - westchnął z grymasem na twarzy, a potem jeszcze raz pocałował jej usta. - Więcej nie będę - obiecał, kiedy poczuł, że Kate chce go odsunąć. - Przynajmniej dopóki się nie zgodzisz. A teraz przynieś blok i

farby. Uwielbiam patrzeć na malujące dziewczyny. To takie romantyczne.

Kate położyła się późno tej nocy. Następnej także. Spacerowała po pokładzie, przesiadywała przy sterze, trzymając w dłoni filiżankę kawy, słuchała z zadumą rytmicznych uderzeń fal o burty statku. Jack nie odstępował jej na krok. Obejmował ją ramieniem, gdy marzła, przytulał, by osłonić ją od wiatru. Ona okrywała ich kocem, kiedy rozmawiali, zapatrzeni w gwiazdy, dzieląc się swymi marzeniami i obawami. Pozwoliła mu wreszcie obejrzeć swoje szkice, wypytała o jego przeszłość i plany na przyszłość. Stopniowo sama zaczęła się zwierzać, jak ciężko jest być dzieckiem rodziców w podeszłym wieku, za wszystko odpowiedzialnym i zawsze gotowym do pomocy. Wzdychała do swoich dawnych marzeń, gapiła się w morze i księżyc, przede wszystkim zaś cieszyła się, że w Jacku Whelanie odnalazła bratnią duszę.

Gdy niebo zaczęło się lekko rozjaśniać, a statek płynął pewnie na spotkanie świtu, uświadomiła sobie nagle, że jest zakochana. Była w nim zakochana właściwie od początku, bo Jack przypominał książkę, której pierwszą stronę czyta się z zapartym tchem, albo symfonię o porywających początkowych taktach. Jednak Kate pragnęła teraz zapuścić się w głąb tajemniczego labiryntu jego duszy. Fascynował ją ten żeglujący po Karaibach człowiek, który cytował Yeatsa i Kierkegaarda, skończył szkołę w Eton, a mimo to czuł się swobodnie wśród ludzi o różnym statusie społecznym.

Zauważyła, że podczas ich nocnych spotkań opowiedziała mu o sobie więcej niż komukolwiek od czasu, gdy była nastolatką i wierzyła, iż marzeniami należy się dzielić. Może sprawiła to jego obecność, a może późna pora, w każdym razie stwierdziła ze zdumieniem, że niczego przed nim nie ukrywa.

Może tylko jednego nie była w stanie mu zdradzić - że z coraz większą niechęcią myśli o tym, co czeka ją po powrocie do domu. Lecz gdy statek zarzucił po raz ostatni kotwicę, Kate była ciągle w rozterce, jaką powziąć decyzję.

„Gwiazda Karaibów” dotarła do St. Maarten późnym rankiem. Nastąpiły czułe pożegnania, wymieniono adresy, obiecano sobie kolejne spotkania. Samantha próbowała namówić nową przyjaciółkę do wyjazdu za rok na Wyspy Dziewicze, lecz Kate nie była pewna, czy chciałaby spędzać wakacje gdziekolwiek indziej niż na Karaibach. Kiedy zeszła wreszcie na przystań w Phillipsburghu, czekał już na nią Jack.

- Kapitan dostał oficjalny urlop - oznajmił z uśmiechem, sięgając po jej torbę. - I jest do twojej dyspozycji. Dokąd jedziemy? - Zanim Kate zdążyła odpowiedzieć, dodał żartobliwym tonem: - Nie mów mi tylko, że na lotnisko.

- Muszę zatelefonować - odparła nieśmiało, z lękiem i nadzieją w oczach. - Nie wiem, czy dostanę jeszcze tydzień urlopu.

- Dwa.

Uśmiechnęła się i Jack nabrał pewności, że nęci ją smak przygody.

- Tylko jeden. I tak mam wyrzuty sumienia. W środę są urodziny ojca.

- Zanim przyszedł na świat, obchodził je bez ciebie - stwierdził Jack, zabierając ją do swego terenowego samochodu. Boże, jak bardzo chciał ją zatrzymać. Nie zdawał sobie nawet z tego sprawy, dopóki nie zobaczył jej zalęknionego spojrzenia. - Daj się skusić. Uciekniemy od dokuczliwego tłumu, moja nimfo - obiecywał. - Możesz liczyć na zimne napoje, delikatny powiew tropikalnego wiatru i wspaniałe krajobrazy. No i telefon, oczywiście.

Dwadzieścia minut później zatrzymał samochód przed swoim domem. Solidny, pobielały budynek, górujący nad

zatoką Guana, miał więcej okien niż ścian, a jego wnętrze zaskakiwało całą paletą barw. Lakierowane drewniane podłogi zdobiły kolorowe karaibskie dywany. Wyposażenie pokoi stanowiły proste, ręcznie ciosane meble. Z balkonu roztaczał się widok na zatokę.

Było to urokliwe miejsce, wypełnione szumem wiatru i oceanu, przesycone upajającymi zapachami wyspy. Jack zawsze tu uciekał, gdy ogarniała go na statku klaustrofobia. To był jego azyl, raj na ziemi.

- Podoba ci się? - zapytał Kate, podając jej drinka. Kate, wypiwszy łyk rumu z sokiem owocowym, skinęła głową, patrząc za okno i podziwiając lśniące w porannym słońcu grzywy fal.

- Cudowny widok. Nic dziwnego, że nie chciałeś wracać do Anglii.

- Czasem tęsknię za mgłą i wrzosowiskami - stwierdził z westchnieniem. - Ale niezbyt często.

- Masz szczęście - stwierdziła. - Niewielu ludzi może zrealizować w taki sposób swoje marzenia.

Powiedziała to ze smutkiem. Wiatr targał jej na piersiach bawełnianą koszulkę i rozwiewał lśniące złocistym blaskiem włosy. Ku swemu zaskoczeniu Jack zareagował gniewem na słowa Kate. Był wściekły, że zrezygnowała ze swych aspiracji, że pozwolili na to jej bliscy. Nie powinna marnować talentu, a zdaje się, że miała zamiar do tego dopuścić.

- Skorzystaj z telefonu - zaproponował - a ja przyrządzę na obiad jakiś lokalny specjał.

Kate zadzwoniła do biura, stojąc boso na drewnianej podłodze z drinkiem w ręce i czując przez otwarte drzwi powiew morskiej bryzy. Bawełniana spódnica, którą miała na sobie, falowała delikatnie wokół jej gołych nóg. Dziwnie było w takich okolicznościach słyszeć w słuchawce długi sygnał i czekać na znajomy głos recepcjonistki.

Najpierw usłyszała po drugiej stronie hałas, od którego zdążyła się już odzwyczaić. Odgłosy maszyn do pisania, drukarek, komputerów, telefonów, wydawane głośno polecenia i krzyki z powodu drobnych błędów, które przestają być drobne, gdy chodzi o miliony dolarów.

Potem przywitała się z recepcjonistką, wymieniła z nią kilka uprzejmych zdań i poprosiła o rozmowę z szefem. Czekać na połączenie z Harrym, przytknęła odruchowo do czoła chłodną szklanę. Zmrużyła oczy, zacisnęła usta, poczuła w skroniach znajome pulsowanie.

- Kate? Gdzie jesteś, do diabła! - Harry krzyczał tak głośno, że odruchowo odsunęła od ucha słuchawkę. To rozmowa międzynarodowa, pomyślała mimo woli. Jego głos powinien brzmieć... ciszej.

- Jestem na wyspie St. Maarten, Harry - odparła.

- Co? Do cholery, Kate! W ogóle cię nie słyszę!

- St. Maarten! - Jej krzyk odbił się głośnym echem o pobielane ściany. - Harry, mój urlop...

- Poczekaj chwilę... Nie, idioto! Nie kazałem ci sprzedawać! Powiedziałem, że nas zawiadomią! Zaczynj wreszcie słuchać! Więc o co chodzi, Kate? Pospiesz się, nie mam czasu!

Pulsowanie w skroniach było coraz silniejsze. Ocean lśnił za oknami jak wypolerowana stal pod nieskończonym błękitem karaibskiego nieba. Fale uderzały spokojnie o brzeg, rozpływały się po nim, wsiąkały w piasek. Kate wzięła głęboki oddech i powiedziała:

- Nie mogę wrócić, Harry.

- Jak to?

- Nie mogę! - zmieniła ton na dramatyczny. - Nadciąga... nadciąga huragan! - skłamała. - Zamknęli lotnisko! Jestem tu uwięziona!

Nie zauważyła, że Jack, wyszedłszy z kuchni z przewieszonym przez ramię ręcznikiem i butelką piwa w ręce, przygląda jej się uważnie.

- Zamknęli lotnisko? - powtórzył Harry po drugiej stronie linii.

- Tak, jest bardzo małe. Nie wiem, kiedy się stąd wydostanę. Może za tydzień... A może później, wszystko zależy od tego, jak bardzo został uszkodzony pas startowy.

Zakończyła i czując, jak wali jej serce, oczekiwała z zamkniętymi oczami reakcji Harry'ego.

- Nie będzie cię jeszcze przez tydzień? To nas wykończy! Musisz wracać!

- Nic na to nie poradzę. Przedłużam sobie urlop. Zadzwoń, kiedy będę mogła.

Odłożyła słuchawkę, odwróciła się i zobaczyła uważną twarz Jacka.

- Nie ma żadnego huraganu - stwierdził cicho. - Z pewnością się o tym dowiedzą.

- W Detroit? - spytała z powątpiewaniem. - Harry nie ma nawet czasu oglądać prognozy pogody. Huragan zainteresowałby go dopiero wtedy, gdyby przeszedł nad Wielkimi Jeziorami i zakołysał naszym biurowcem.

Jack uśmiechał się do niej z sympatią.

- Tylko tydzień - ostrzegła go Kate, zapominając nagle o bólu głowy.

- Nie ma sprawy. Tydzień wystarczy.

Rozdział 6

Telefonując do domu, Kate miała o wiele trudniejsze zadanie. Tym razem był dla niej udręką nie hałas, lecz głucha cisza w słuchawce.

- Ależ Kate - powiedziała po długim milczeniu jej siostra Margaret. - Są przecież urodziny taty...

- Wiem, Mag - westchnęła Kate. - Ale nic na to nie poradzę. Uczymy je, kiedy wrócę.

- Co mam powiedzieć tacie? - zapytała siostra tonem wymówki. - Kończy osiemdziesiąt lat.

Kate znów podświadomie zmrużyła oczy, czując pulsowanie w skroniach.

- Zadzwoń do niego i wszystko sama mu wyjaśnię. Tak się po prostu złożyło. Naprawdę żałuję, ale... nie mogę.

Znów skłamała. Przecież Jack nie trzymał jej tu siłą. Pomyślawszy, że zdążyłaby jeszcze na samolot i mogłaby sprawić radość ojcu, zamkniętemu w czterech ścianach mieszkania, omal nie zmieniła zdania.

- Zostaw nam przynajmniej jakiś numer telefonu, żebyśmy mogli do ciebie zadzwonić, kiedy będziemy wszyscy razem.

- Numer telefonu? - Kate rozejrzała się zdezorientowana.

- Podaj mój - podpowiedział Jack, stając obok niej i pisząc na kartce kilka cyfr.

- Kierunkowy znasz - znów odezwała się Kate. - A potem pięć - siedem - sześć - jeden.

- Tylko tyle?

- To mała wysepka.

- Który numer pokoju?

Kate spojrzała niepewnie na Jacka.

- Nie jestem w hotelu - przyznała. - Zatrzymałam się u znajomego.

- Ach, tak - usłyszała, a potem w słuchawce ponownie zaległa głęboka cisza.

Pożegnała się szybko i rozłączyła. Wiedziała, że ojciec się zmartwi. Odwiedzała go zawsze w święta i w dniu urodzin. Od śmierci matki stała się jego nieodłączną towarzyszką, a on zdążył się już do tego przyzwyczać.

- To idiotyczne - stwierdziła, kręcąc głową. - Powinam wracać do domu.

Jack podążył za nią na balkon.

- Już za późno. Nie zdążysz na samolot.

Widziała, że rozumie jej udrękę. Swym łagodnym spojrzeniem rozwiewał jej obawy i wątpliwości, dodawał otuchy. Przypomniawszy sobie, ile razy sama nie obchodziła swoich urodzin, przestała mieć poczucie winy.

Postanowiła zaufać Jackowi. Odetchnęła głęboko, uśmiechnęła się z trudem i zapytała, zmieniając ton:

- Naprawdę pozwolisz mi tu malować?

- Jasne. - Jack posłał jej promienny uśmiech. - Masz cały balkon dla siebie.

- I zwiedzimy wyspę?

- Każdą skałę, wszystkie restauracje. ; - I popływamy jachtem?

- Chciałabyś?

Wiedziała, że dotknęła czułego punktu.

- Mandalay... - mruknęła, uśmiechając się szerzej. - Kipling. .. Nie znalazłbyś chyba nazwy dla tego jachtu w żadnym wierszu Yeatsa.

- Czemu nie? - odparł rozbawiony. - Mógłbym go nazwać „Angielską Banderą”.

- Albo „Gunga Din”! - Kate zachichotała radośnie. Dopiero teraz wypełniło ją poczucie triumfu. Zdołała się

wyrwać ze świata, który ją zniewalał. Może tylko na tydzień, ale wykazała w ten sposób więcej odwagi niż kiedykolwiek w przeszłości.

Nie chodziło zresztą tylko o ucieczkę. Ważniejszy był mężczyzna, który ją do niej nakłonił, który rzucił na nią urok, sprawiając, że zapomniała o nauce, pracy i rodzinnych zobowiązaniach. Nazwał ją elfem, leśną nimfą, oczarował swym życzliwym uśmiechem. Anglik ze skłonnością do szaleństwa. Romantyk. Żeglarz. Kate uśmiechnęła się w duchu, wiedząc już, że ta przygoda nie skończy się tak szybko.

Jack dotrzymał słowa. Po obiedzie zapakował Kate do samochodu, by pokazać jej wyspę. Spacerowali, wspinali się na wzgórza i pływali, poznając słone laguny, bezлюдne plaże i strome zbocza. O zachodzie słońca delektowali się pasztetem i winem nad brzegiem morza, a potem usiedli na trawie obok miejscowego kościoła, słuchając muzyki reggae.

Gdy nad lśniącymi wodami Karaibów wzniósł się księżyc, Jack zawiózł Kate z powrotem do swego domu. Nie mówił jej tego wcześniej, ale teraz przypomniał sobie, że niedawno obiecał w tych dniach gościnę komu innemu. Kiedy więc w drodze powrotnej minęli ostatnie wzgórze i zobaczyli w oknach światła, zaklął pod nosem. Zaparkowali przed wejściem. Z wewnątrz słyhać było głośnie rozmowy, a na niewielkim trawniku przed domem stało kilkanaście samochodów.

- Mamy towarzystwo? - zapytała Kate, unosząc brwi.

- Świętują zakończenie rejsu - burknął, wściekły na swoich kolegów. - Wyleciało mi z głowy, że miałem zorganizować im imprezę.

Kate uśmiechnęła się, starając się nie okazać rozczarowania, że w tę księżycową noc nie będzie z Jackiem sama w jego romantycznym domku.

- Powinieneś założyć solidne zamki.

- Nic by to nie dało - odparł, trzymając mocno kierownicę. - Ronnie jest ślusarzem. Poza tym dla tych ludzi tradycja to rzecz święta. Zawsze po rejsie się spotykamy.

- Mieliby pretensje, gdybyś się nie pojawił?

- Zapewne nie - stwierdził Jack, spojrzawszy z niechęcią na widoczne za oknami domu rozbawione towarzystwo.

Kate wzruszyła ramionami.

- Więc nie wchodźmy do środka.

Siedział przez moment obok niej, bębniąc palcami o kierownicę. Wyprostowawszy się nagle, otworzył drzwi samochodu i powiedział:

- Wsiadaj.

Podążyła za nim, nie bardzo wiedząc, co zamierza zrobić. Miała nadzieję, że nie pójdą na przyjęcie. Przez cały dzień Jack należał tylko do niej i nie chciała teraz z nikim się nim dzielić.

Ale Jack sięgnął do bagażnika po koc, na którym leżeli na plaży, i butelkę wina, kupioną w Phillipsburgh dla uczczenia wspólnego wieczoru, a potem wziął Kate za rękę i poprowadził w kierunku morza. Zgodziła się z radością.

Noc była upojna, prawdziwie tropikalna. Ciepły wiatr przynosił zapachy tysiąca kwiatów, niebo iskrzyło się gwiazdami. Ogromny żółty księżyc wisiał nad horyzontem, oświetlając niespokojne morze. Za plecami Kate wznosiły się góry, ciemniejsze niż niebo. Przed sobą miała zatokę w kształcie podkowy. O jej brzeg uderzały rytmicznie fale, wyższe i głośniejsze teraz niż w ciągu dnia. Magia tej nocy odurzała jak mocne wino.

Światło księżyca lśniło we włosach Jacka i złociło mu ubranie. Bawełniana koszula opinała jego szerokie, muskularne plecy. Idąc tuż za nim, patrzyła z przyjemnością na jego wąskie biodra. Wyobrażając sobie, że go dotyka, nie zauważyła, kiedy się zatrzymał. Omal na niego nie wpadła.

- Tu o wiele bardziej mi się podoba - usłyszała jego cichy głos, tłumiony przez szum oceanu.

Od plaży dzielił ich tylko pas zieleni. Kate zobaczyła rozognione spojrzenie Jacka i serce zaczęło bić jej mocniej. Miała ostatnią szansę, by się wycofać, zamknąć się w swojej bezpiecznej skorupie i wrócić do domu bez poczucia winy. Czowała jednak, że na tej plaży czeka na nią przeznaczenie. Bała się, telefonując do biura i później do domu, lecz w tej chwili, o dziwo, wcale nie odczuwała strachu.

- Masz dobry gust, jeśli chodzi o wybór romantycznych miejsc - powiedziała, zdumiona matowym brzmieniem swego głosu.

Jack pochylił się i pocałował ją bez słowa.

- W ogóle mam dobry gust - oznajmił, odrywając się po chwili od jej ust.

- Zdecydowanie przedkładam szczerą nad skromność. - Zajrzała mu głęboko w oczy.

- Anglik ma być skromny? - odparł i wziął ją za rękę, by zaprowadzić na złocisty piasek plaży. Podeszli do brzegu. Grzywy fal srebrzyły się w poświacie księżyca, a daleki horyzont zlewał się z granatowym niebem. Ciepły, ożywczy wiatr buszował Kate we włosach i szarpał jej spódnicę. - Co czujesz? - zapytał Jack.

- Czuję, że to idealne miejsce na randkę. Rzeczywiście tak było. Tajemniczy zakątek wybrzeża w krainie wiecznego lata. Ciepły, miękki piasek, gorąca noc i dwoje kochanków, którzy za chwilę padną sobie w ramiona.

Zabrała mu koc i rozłożyła go na piasku. Miała nadzieję, że Jack nie widzi, jak trzęsą jej się ręce.

- Nie zostałam na wyspie, żeby malować zachody słońca - stwierdziła, uśmiechając się prowokująco. - Chyba że po to mnie tu zatrzymałeś.

Milczał przez dłuższą chwilę. Kate czekała, co odpowie, oddychając z trudem i nie mogąc się zdecydować, czy powinna uciec, czy też ulec pokusie, którą wzbudzała jego obecność. Jack nie odrywał od niej wzroku. Spojrzenie jego szarych oczu rozgrzewało ją jak poranne słońce i przyprawiało o zawrót głowy. Nagle uniósł trzymaną w ręce butelkę i zapytał:

- Napijesz się wina?

- Chętnie.

Usiedli obok siebie na kocu. Blisko, bardzo blisko. Tak blisko, że musiała natychmiast napić się wina, by zwilżyć wyschnięte nagle gardło. Gdyby była w stanie się odezwać, gdyby starczyło jej siły i odwagi, powiedziałaaby po prostu, że go pragnie. Chciała poczuć na sobie ciężar jego ciała, upajać się jego męskim zapachem, rozkoszować dotykiem jego rąk. Uświadomiła sobie, że nie opuści go, dopóki nie dane im będzie zaznać największej bliskości, intymnej jedności, wspólnej rozkoszy.

Jack podał jej szklanekę wina. Ich dłonie zetknęły się na moment. Kate przyglądała się bezsensownie swoim palcom, jakby spodziewała się zobaczyć iskrzenie, wywołane jego dotykiem. Napiła się wina, pragnąc ugasić ogień, który trawił jej wewnątrz. Bezskutecznie. Coraz mniej nad sobą panowała.

- To o wiele lepsze miejsce na przyjęcie - odezwał się Jack.

Skinęła głową. - : - Tylko trochę słabo słycać muzykę.

Przyglądał się jej jedwabistym włosom, falującym na wietrze, po chwili instynktownie je pogładził.

- Najpiękniejszą muzyką jest szum oceanu.

Jego też spalało pragnienie, by wziąć Kate w ramiona. Trawiła go niezaspokojona żądza, chciał ją posiadać, bo nie wystarczało mu już to, co do tej pory ich łączyło. Kate była taka krucha, taka delikatna i uległa w jego objęciach. A

zarazem wymagająca i namiętna podobnie jak on. Nie kryła swej zmysłowości, nie stwarzała pozorów, by sprawić sobie przyjemność lub omotać mężczyznę. Dzięki temu jeszcze bardziej go pociągała. Wiedział, że w końcu wyssie z niego wszystkie soki, że uzależni go od siebie, że nic już nie będzie takie jak było. Lecz choć tak długo nie dał się usidlić żadnej kobiecie, teraz tego właśnie potrzebował. Dla leśnej nimfy gotów był stracić wolność.

Kate znów spojrzała mu w oczy. Zobaczyła w nich mroczną namiętność i przestała się uśmiechać. Widziała jego podniecenie, czuła dłoń wplecioną wciąż w jej włosy. Nie chciała wyjeżdżać, wracać do odpychającego, upalnego Detroit. Teraz była już pewna, że woli zostać.

Boże, pomyślała, usiłując spokojnie oddychać. Chcę się z nim kochać. Czy nie mogę ten jeden raz ulec pokusie? Wkrótce wrócę do domu, daleko od tych magicznych wysp i słodkiej wolności. Czy to zbyt samolubne, że pragnę zabrać ze sobą chociaż cudowne wspomnienia?

Jakby w odpowiedzi na tę milczącą skargę, Jack dotknął delikatnie jej podbródka. Drugą ręką odebrał od niej szklanekę i postawił z boku obok swojej. Przez cały czas patrzył jej w oczy. Jego zniewalający dotyk pozbawiał ją tchu. Słyszała jedynie płytki, gorączkowy oddech i bicie swego serca.

- Chcesz zobaczyć moje obrazy? - szepnęła, a jej słowa poniósł wiatr.

- Tylko pod warunkiem, że pokażę ci swoje. Przesunęła palcem po jego delikatnych wargach.

- Moja matka nie miała na myśli takiego kompromisu, kiedy mówiła, że kobieta i mężczyzna muszą umieć się dogadać.

- Mówiłem ci, że nawet matki czasem się mylą.

Ujął jej dłoń i podniósł do ust. Kate poczuła na sobie jego palące spojrzenie. Mimo woli rozchyliła wargi. Łatwiej jej

było w ten sposób oddychać, kiedy dotyk gorących ust Jacka wzbudzał w niej dreszcze.

- Znamy się dłużej niż trzy dni - stwierdził z uśmiechem, masując delikatnie jej przegub. Nie zauważyła, kiedy uniósł drugą rękę. Poczwała nagle na szyi jego chłodny dotyk, który jeszcze bardziej ją podniecił. Wyobraziła sobie, że Jack obejmuje jej piersi i przywiera do nich ciepłymi wargami. Zadrżała i wiedziała, że on to dostrzegł. Zaraz potem przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Kiedy kładł ją na kocu, znów wyobraziła go sobie jako kapitana z pirackiego statku albo oficera z dawnego galeonu. Źle ze mną, całkiem zwariowałam, pomyślała i jakby chcąc udowodnić i jemu, i sobie, że nadal umie myśleć trzeźwo, oznajmiła:

- Nadal zamierzam wsiąść w przyszłym tygodniu do samolotu.

Myślała, że po tych słowach Jack się odsunie, ale nie zrobił tego. Wpatrywał się tylko w jej włosy, błędząc palcami w ich gąszczu. Kiedy zaś zajrzał w jej oczy, dostrzegł w nich przyzwolenie, które pobudziło jego żądę.

- Musimy więc dobrze wykorzystać ten tydzień - szepnęła.
- Zapomnijmy o świecie, o pracy i rodzinie. Zgoda?

- Czekałam, kiedy mi to zaproponujesz - odparła z uśmiechem.

Dotknął lekko jej warg, a ona otworzyła usta, przygryzając delikatnie koniuszek jego palca i drażniąc go językiem.

- Chodź, nimfo - wyszeptał, nie mogąc znieść dłużej ogarniającego go napięcia.

Jack starał się nad sobą panować. Chciał, żeby Kate doznała pełnego zaspokojenia i mogła się nim cieszyć jak najdłużej. Ale gdy usłyszał jej zmysłowy pomruk, wiedział, że jego wysiłki pójdą na marne. Miała tak delikatną, jedwabistą skórę. W jej roześmianych oczach, błękitnych jak szafiry na

tle nieba, widział zaproszenie i zachętę. Była podekscytowana, tak samo jak on. Nie miała zamiaru zamykać oczu, patrzyła na niego śmiało i czekała na to, co zrobi.

Najpierw zdjął z niej bluzkę i patrzył z zachwytem na nagie ramiona i jędrne piersi, osłonięte satyną i koronkami. Potem zanurzył w nich twarz, czując, jak przez wiotkie ciało przebiega gwałtowny dreszcz. Syknęła z rozkoszy, wygięła plecy w łuk, przygarnęła do siebie jego głowę. Kiedy oswobodził jej piersi i zaczął pieścić Kate intensywniej, dreszcze rozkoszy zaczęły zalewać ją jak fale. Przesunął dłoń na jej uda, a wtedy jęknęła i przywarła do jego spoconego torsu. Zaczął ją rozbierać, nie protestowała.

Kate czuła, jak ogarnia ją gorączka. Bała się, że nie znieśie narastającego napięcia. Chciała błagać Jacka, by już teraz je rozładował, nasycił ją, wypełnił szczęściem i dał błogi spokój spełnienia. Pomogła mu się rozebrać i patrzyła z zachwytem na jego nagość, lśniąca w blasku księżyca niczym marmur. Miała ochotę krzyczeć z radości, drżała z niecierpliwości, pragnąc poczuć wreszcie na sobie jego ciężar i zamknąć w swym łonie pulsującą rozkosz. Nie chcąc czekać dłużej, uniosła ku niemu ramiona.

- Więc mam cię posiąść, nimfo? - zapytał szeptem i uśmiechnął się do niej z czułością.

Objęła go mocniej.

- Odnajdziesz zaraz mój ukryty skarb.

Opadł na nią, zachwycony obfitością rozkoszy, jaka miała go spotkać. Zanim się z nią połączył, zapragnął poznać ją całą, i nacieszyć się jej niezwykłym pięknem. Prowokował ją więc i drażnił, głaskał i całował, dotarł do najintymniejszych miejsc i dopiero gdy wiedział, że ani on, ani ona nie zniosą dłużej udreki oczekiwania, wszedł w nią, zatracając się bez reszty.

Od tej chwili przestał pojmować, co się z nim dzieje. Czuł, jak Kate go pochłania, jak przywiera do niego, jak preży się w

zmysłowym tańcu. Poruszali się zgodnym rytmem, razem wspinali się na szczyt, razem szeptali najczulsze słowa i dobywali z gardeł krzyki zdumienia, zaskoczenia i radości. Wreszcie razem poszybowali ku niebu i rozplynęli się całkowicie w otchłani zmysłów.

Przez kilka chwil Kate myślała, że jest wczesny ranek w Detroit i pierwsze promienie słońca wnikają przez okno do jej sypialni. Sądziła, że za chwilę usłyszy budzik i że to ostatnie minuty kiedy może delectować się spokojem poranka.

Zmieniwszy nieco pozycję, uderzyła pięścią w poduszkę, która zawsze okręcała się wokół niej. Chciała ją wygładzić, lecz nieoczekiwanie poduszka jęknęła i cicho zakłęła. Kate otworzyła ze zdumieniem oczy.

Rzeczywiście był świt, ale nie znajdowała się z pewnością w Detroit. Leżała pod kocem, przytulona do Jacka.

- Czy zawsze tak witacie się rano w Detroit? - zapytał, pocierając obolałe zębra.

Kate uśmiechnęła się potulnie.

- Przepraszam. Myślałam, że to poduszka.

- Niezła wymówka. Wcale nie jestem pewien, czy mam ochotę pocałować cię na dzień dobry. Mogę nie odzyskać potem przytomności.

Kate podniosła się, omiatając jego tors kaskadą włosów i wpatrując się w niego rozognionym wzrokiem.

- Muszę się nad tym zastanowić - oznajmiła z leniwym uśmiechem. - Najpierw jednak zjem cię na śniadanie.

Jack jęknął z udaną rozpaczą.

- Jeszcze trochę i będę zbyt zmęczony, by cieszyć się urlopem.

- W nocy mówiłeś co innego - odparła, widząc, że jego reakcja na jej bliskość najwyraźniej przeczy tym protestom.

- Faktycznie - odparł, a potem przyciągnął ją do siebie z tym samym błyskiem w oczach, który widziała nocą na pustej plaży.

Tym razem ich zbliżenie było nie tyle aktem poznania, co wielką uczcą. Jack odnajdywał miejsca, które upodobał sobie szczególnie. Kate poddawała mu się całkowicie, wzdychając z rozkoszy i jeszcze bardziej go tym podniecając. Ich wargi stykały się, rozdzielały i łączyły ponownie, nabrzmiące od namiętnych pocałunków. Zmysłowe pomruki tonęły w szumie wiatru, a wschodzące słońce opromieniało chwilę zespolenia.

Gdy położył potem na jej piersi pogodną twarz, pogładziła jego wilgotne, złociste włosy. Za oknem pierwsze promienie muskały spienione fale, morze oddychało spokojnie, jakby i ono odpoczywało po burzliwej nocy. W tym właśnie momencie Kate zrozumiała, co znaczy być wolnym. Znajdowała się w raju, osłonięta od reszty świata cyplami zatoki i ramionami swego kochanka.

- Jesteś raczej czarownicą niż nimfą - wyszeptał Jack głosem pełnym zachwytu i bólu - ale chyba się w tobie zakochałem.

Kate leżała spokojnie, nadal przeczesując palcami jego włosy i wpatrując się w delikatny błękit nieba, poznaczony wąskimi pasemkami różowych chmur.

- Chciałabym być czarownicą - westchnęła. - Mogłabym wtedy oddzielić nas od reszty świata. Sprawiałabym swoją magiczną mocą, byśmy zawsze byli razem.

Jack uniósł głowę i spojrzał jej w oczy. Nie znalazł w nich ironii ani drwiny.

- Czy to znaczy, że nadal jesteś przygnębiona?

- Trochę. - Spróbowała się uśmiechnąć. - To głupie, prawda? Spędziliśmy razem tydzień na statku i jedną noc, kochając się na plaży.

- Kochając się wielokrotnie.

- No właśnie. Było cudownie. Nigdy dotąd nie czułam się taka... pożądana. Taka piękna.

- Bo miałaś do czynienia z idiotami. Nie powinnaś tam wracać.

- Mieliśmy o tym nie mówić.

Jack otarł łzy, które pojawiły się w kąciach jej oczu.

- Jeśli wyjedziesz, wszystko przypadnie.

Kate nie mogła zdobyć się na odpowiedź. Wiedziała, że Jack ma rację, że gdy tylko powróci do codziennych obowiązków, zapomni o jego świecie. Urzekające barwy wyblakną, podobnie jak wiara, że jakikolwiek mężczyzna może ofiarować jej tyle, co on. Cóż znaczył tydzień ich znajomości wobec ponad trzydziestu lat, które przeżyła w Stanach?

- Wiesz, że masz najbardziej wymowne spojrzenie, kiedy jesteś smutna? - zapytał z czułym uśmiechem. - Twoje oczy mają wtedy kolor jesiennego nieba. - Pochylił się i pocałował ją, jakby chcąc zapamiętać na dłużej smak jej ust. - Może musisz wracać do swoich zajęć - powiedział w końcu. - Ale powziąłem właśnie pewną decyzję...

- Jaka? - zapytała natychmiast.

- Przyjadę do ciebie.

- Po co?

- Żeby cię stamtąd zabrać. Nie zadowala mnie już to, co mam, moja nimfo. Pragnę czegoś więcej. Pragnę ciebie.

- Naprawdę? - Kate poczuła przyływ niewysłowionej radości. Jej serce było jak ptak, próbujący wydostać się z klatki na wolność.

Jack wyciągnął do niej rękę.

- Zostań ze mną, Kate. Maluj w moim domu. Bądź moją współpracowniczką. Możemy wynająć komuś jacht. I tak zamierzałem zrezygnować na jakiś czas z żeglowania. Najwyższy czas znów zająć się interesami.

Kate usiadła, okrywając się kocem. Zrobiło jej się nagle zimno, nie tylko z powodu wiatru. Jack snuł zbyt śmiałe marzenia.

- Zwolnij trochę - ostrzegła, dotykając jego torsu. Uniósł głowę, zaskoczony jej słowami. Ona mówi mu, żeby zwolnił?

- W porządku - skinął głową. - Przestańmy snuć marzenia, a mówmy konkretnie. Co naprawdę chcesz teraz zrobić?

- Wrócić do domu - odpowiedziała natychmiast. - Muszę pomówić z rodziną, oswoić ich z myślą o moim ewentualnym wyjeździe. Powinnam zaoszczędzić trochę pieniędzy i przeszkolić mojego następcę. Poza tym jest jeszcze szkoła... Mogłabym wyjechać po zakończeniu semestru i zobaczyć, jak nam się układa. Gdybym dostała w pracy bezpłatny urlop, mniej bym ryzykowała.

Oczy Jacka trochę spochmurniały.

- Jeśli dam ci na to wszystko czas, obiecujesz, że postarasz się wrócić?

- A naprawdę po mnie przyjedziesz?

Nad ich głowami zaskrzeczała smętnie mewa. Wiatr zawodził nad piaszczystą plażą. Jack uniósł rękę i dotknął policzka Kate.

- Choćbym nawet musiał wyruszyć w drogę podczas najgorszej burzy i przepłynąć cały świat dookoła.

Rozdział 7

Kate siedziała na balkonie, malując pejzaż zatoki. Zbliżał się wieczór, zachodzące słońce rzucało łagodne światło na wzgórze. Była nadal podekscytowana podjętą dwa dni wcześniej decyzją. Obudziwszy się tego ranka, ujrzała, że Jack przygląda jej się z łagodnym uśmiechem, i zapragnęła, by było tak codziennie. Chciała zasypiać przytulona do niego i mieć go obok siebie, gdyby dokuczała jej samotność lub strach. On przekonywał ją, że to wszystko jest możliwe, a ona zaczynała w to wierzyć.

- Mamy gości, Kate!

Drgnęła na dźwięk jego głosu i odwróciła głowę w kierunku pokoju. Nie słyszała nawet, jak wchodził. Pojechał tylko na godzinę do miasta, żeby uzupełnić zapasy jedzenia.

- Jestem tutaj! - krzyknęła, płucząc pędzle. Wyjrzał zza futryny i uśmiechnął się serdecznie:

- Spodziewałem się, że tu będziesz. Zobacz, kogo ci przyprowadziłem. - Zanim Kate zdążyła odpowiedzieć, znowu zniknął za drzwiami. Usłyszała, jak mówi: - Spójrzcie tylko, namalowała te cztery pejzaże w dwa dni!

Nie miała pojęcia, kto przyszedł z Jackiem. I dlaczego Jack pokazuje komuś jej obrazy. Wiedział przecież, że tego nie lubi. Owszem, cieszyła się, gdy z satysfakcją i dumą podziwiał jej ukończone dzieła, ale nie chciała, by oglądał je ktokolwiek inny.

Wszedłszy do pokoju, zobaczyła, że Jackowi towarzyszą dwie osoby. Jedną z nich była Samantha.

- Wiedziałam, Kate! - powitała ją wylewnie z radosnym uśmiechem. - Od razu się domyśliłam! Opowiedz mi wszystko!

- Czego się domyśliłaś? - zapytał Jack, podając piwo drugiemu gościowi, mężczyźnie w średnim wieku o śniadej cerze i beztroskim spojrzeniu.

- Nieważne - odparła Kate, spoglądając karcąco na Sam. - Ale jeśli myślimy o tym samym, Samantha, to chcę ci powiedzieć, że jeszcze się nie zdecydowałam.

- Nad czym tu się zastanawiać?

- Już ja wiem nad czym. A ty co tu robisz? Podobno miałaś wrócić do swojej księgami?

Przyjąwszy od Jacka kieliszek z winem, Sam pokręciła głową z tajemniczym uśmiechem.

- Najpierw muszę trochę poszaleć.

Kate spojrzała wymownie na towarzyszącego Samanthcie mężczyznę, który trzymając w ręce butelkę piwa, przyglądał się uważnie czterem akwarelom, przedstawiającym krajobrazy wyspy. Jak dotąd czekała bezskutecznie, by Jack lub Sam jej go przedstawili. Mężczyzna zresztą też nie kwapił się do prezentacji. Przystąpił z nogi na nogę, wypił kolejny łyk piwa i powiedział:

- Taaa... Masz rację, Sam. Mogłyby się nadać.

- Nadać się do czego? - zapytała Kate, starając się nie podnosić głosu.

W pokoju zapanowała napięta atmosfera. Jack i Sam uśmiechnęli się z zakłopotaniem, a nieznajomy popatrzył na Kate, zdziwiony jej gwałtowną reakcją.

- Pozwól, Kate, że przedstawię ci naszego gościa - dopiero teraz zreflektował się Jack. - To Paul Stanford z Galerii Sztuki w Phillipsburghu. Jest znajomym Samantha, chciał obejrzeć twoje prace.

Stanford wyciągnął do niej rękę, Kate podała mu bez słowa drżącą dłoń.

- Poszukuję dobrych lokalnych artystów - powiedział. - Nie takich jednak, którzy malują, by związać koniec z końcem. Interesuje mnie prawdziwa sztuka. Sporo turystów kupuje u nas obrazy, więc jest na nie popyt. Nie mogę oczywiście obiecać pani fortuny ani sławy. Nie wiem nawet,

czy turystom spodobają się pani dzieła. Nigdy nie wiadomo, co im przypadnie do gustu. Wiem tylko, że ma pani wyrazisty styl. Możemy spróbować, jeśli pani zechce.

- Spróbować? - powtórzyła.

- Tak, spróbować znaleźć kupca na pani obrazy.

Kate wiedziała, że wszyscy na nią patrzą. Dostrzegała dumę, oczekiwanie i optymizm w oczach Jacka, czuła przychylne spojrzenie Sam, obserwującej ją z głębi pokoju. Jak na ironię przypomniała sobie w tym momencie dzień, gdy mając czternaście lat, wymknęła się z domu, by obejrzyć wystawę sztuki. Dygotała wtedy z przerażenia, a po powrocie do domu dostała od matki lanie. Strach smakuje tak samo w każdym wieku, pomyślała.

A jednak wzięła głęboki oddech, uśmiechnęła się niepewnie i powiedziała głosem, w którym obawa mieszała się z nadzieją:

- Dziękuję, chętnie spróbuję.

- Więc to był czysty przypadek? - zapytała Kate, gdy Stanford wyszedł, a ona została z Jackiem i Samanthą. - Po prostu go spotkaliście, a on zapytał, czy nie zna żadnych malarzy z wyrazistym stylem?

- Czasem tak bywa. - Sam wzruszyła niewinnie ramionami.

- Nie wierzę.

- O co ci chodzi? Nie chcesz malować? - zapytał Jack, rozsiadłszy się w fotelu z butelką piwa w ręce. - Nie chcesz sprzedawać swoich obrazów?

- Nie wierzę - powtórzyła powoli. - Ty i Sam przypadkowo wpadliście na siebie w Phillipsburghu. Potem natknęliście się na Stanforda, który wspomniał mimochodem, że poszukuje nowych talentów. Przecież to szyta grubymi nićmi intryga, a nie żaden przypadek.

- Dlaczego? - Jack uśmiechnął się drwiąco.

- Nie trać czasu, tylko idź na balkon i maluj - dodała Sam. Kate miała ochotę się złościć, że zrobili to wszystko bez jej wiedzy. Domyśliła się, że za wizytę Stanforda odpowiedzialny jest Jack i właśnie pod jego adresem zamierzała wygłosić jakąś złośliwą uwagę. Ale przecież on chciał tylko jej pomóc.

- Nawet ci nie podziękowałam - stwierdziła, dając w końcu za wygraną i pozwalając mu cieszyć się wraz z nią z nowej szansy.

- Miałem nadzieję, że okażesz mi wdzięczność w inny sposób.

- To ja już sobie pójdę. - Samantha chwyciła pośpiesznie torebkę i pomachała im ręką z wymownym uśmiechem. - Miło było was widzieć. Bawcie się dobrze. I odwiedźcie mnie czasem, tylko wcześniej zadzwońcie.

Zostali sami. Jack podniósł się z fotela i podszedł do Kate.

- Najbardziej lubię, kiedy jesteśmy tylko we dwoje - powiedział. - Chodźmy do sypialni.

- Myślałam, że dziś w nocy popływamy jachtem - zaoponowała nieśmiało.

Ujął jej twarz w dłonie i przygarnął ją do siebie.

- Chyba jeszcze nie dzisiaj, kochana.

„Mandalay” był jachtem, jaki można sobie wymarzyć. Smukły, szybki i cichy, miał granatowy kadłub i pokład z tekowego drewna. Gdy Kate weszła po raz pierwszy na jego pokład, poczuła się od razu jak w domu. Odnosiła wrażenie, że zna już ten statek i potrafi poruszać się na nim po omacku.

Jack dumnie przemierzał pokład, dotykając z czułością takielunku i lśniących relingów. Miał przy tym tak szczęśliwy wyraz twarzy, że Kate nie omieszkała tego skomentować:

- Elizabeth Taylor patrzyła w ten sposób w jednym z filmów na swego ukochanego konia.

- Słucham? - Jack podniósł wzrok znad steru, skonsternowany nieco i zaskoczony.

Kate wskazała ręką na jacht.

- Przemawiasz do niego jak do żywej istoty.

- Przecież to jest żywa istota.

- Wiem. Kiedy złapie wiatr w żagle, zaczyna nawet rozmawiać. Słyszałam tę mowę na „Gwieździe Karaibów”.

- Nie ma na świecie niczego wspanialszego - westchnął z rozmarzeniem Jack.

A potem jacht pomknął chyżo po wodzie, reagując na każdy dotyk Jacka jak kobieta i płasząc po falach jak tancerka. Kate odnalazła na pokładzie „Mandalay” spokój, jakiego dotąd nigdy nie zaznała. Byli z Jackiem odcięci od świata, ich łódź stanowiła jedyną oznakę życia na wzburzonym morzu. Na tle bezkresnego kobaltowego nieba widniały tylko odległe wyspy, jak omszałe chmury na horyzoncie. Obserwowali zmieniające się kolory, pędzące chmury i łopoczące żagle. Kate pomyślała, że powinna utrwalić to wszystko na płótnie, a gdy przypomniała sobie Paula Stanforda, jej serce zabiło nowo rozbudzoną nadzieją.

- Czy Stanford mówił poważnie? - zapytała, siedząc obok Jacka na rufie z twarzą zwróconą do słońca.

- Oczywiście. - Pocałował ją w ponętne usta, jak gdyby chciał dodać jej otuchy. - Jak najbardziej poważnie. Kiedy go poznasz lepiej, przekonasz się, że mogliśmy go nakłonić do obejrzenia twoich obrazów, ale nikt go nie zmusi, by podjął się ich sprzedaży wbrew swojej woli.

Kate westchnęła, jakby przeszedł ją dreszcz.

- To brzmi zbyt pięknie, by było prawdziwe.

- Jeśli nie chcesz zaryzykować - odparł, obejmując ją ramieniem - to wyobraź sobie, że ja siedzę teraz w swoim biurze w Bayswater, a ty przed swoim komputerem w Detroit.

- Pocałował ją znowu i zapytał z uśmiechem: - Wolałabyś, aby tak było?

- Nie.

- Więc wiesz już, co jest dla ciebie najważniejsze,
- Nie to, co myślisz.
- Nie? Nie chodzi ci o wolność, spokój, malowanie?

- Niezupełnie. - Spojrzała na niego poważnie. Miała wrażenie, że Jack musi słyszeć, jak mocno wali jej serce. - Kochasz mnie? - zapytała.

- Do szaleństwa - odparł, a ona zacisnęła palce na jego targanej wiatrem koszuli. - A ty mnie kochasz?

- Tak.

Stwierdziła to z ulgą i zaskoczeniem. Cokolwiek by się zdarzyło, pozostaną wspomnienia. Gdyby nawet trzeba było zamknąć tę książkę z bajkami i odłożyć na półkę, gdzie pokryje się kurzem, zachowa przynajmniej w pamięci czternaście niewiarygodnych, słonecznych dni, podczas których była zakochana.

Spojrząwszy na kompas, a potem na wydęte żagle i wyłaniającą się na horyzoncie wyspę, Jack pokręcił sterem w lewo. Kate opalała się na dziobie. Napił się piwa i pomyślał, jak cudownie byłoby poczuć teraz dotyk jej rozgrzanego ciała. Od dawna się już nie kochali. Chyba od kilku godzin. Zaczynał się niecierpliwić.

Im większej doznawał rozkoszy, tym bardziej jej pożądał. A przecież wiedział, że z Kate może mu być jeszcze cudowniej. Czasem wydawała się zniechęcona, jak dziecko stawiające pierwsze kroki. Dostrzegał oczywiście w jej rozognionym spojrzeniu zachwyt lub pożądanie, lecz na ogół tłumiała w sobie uczucia. Brakowało jej pewności siebie i przez to wątpiła także w niego.

- Jack, chodź tu szybko i popatrz!

Słyszając wołanie, zablokował ster i pobiegł na dziób. Kate stała wychylona za burłę, promienna i uśmiechnięta, a jej jedwabiste włosy falowały na wietrze. Obok jachtu uwijała się cała gromada delfinów. Ich grzbiety lśniły srebrzyście w

słońcu. Jack rzucił tylko okiem na igrające z falami stworzenia, po czym utkwił wzrok w twarzy Kate.

Wyglądała cudownie, urzekająco, emanowała spontaniczną, dziecięcą wręcz radością. Gdy zaś odwróciła głowę, nie próbowała tym razem ukryć swego zachwytu. Chciała podzielić się z nim swoim odkryciem i zrobiło to na nim piorunujące wrażenie.

Zaprzagnął natychmiast się z nią kochać. Tutaj, teraz, pod oślepiająco błękitnym sklepieniem nieba, słysząc radosny jazgot delfinów, ciesząc się wiatrem, słońcem i swoją miłością.

I kochali się, gorąco i czule jak nigdy dotąd.

- Zdajesz sobie sprawę, że jesteś naga? - zapytał Jack, gdy było już po wszystkim. - Nie wstydzisz się?

- Nie jestem bardziej naga niż ty - mruknęła, błędząc palcami po jego torsie.

Jack pogładził z uśmiechem jej włosy.

- Ale to nie ja wystawiam gołe pośladki w kierunku tamtego frachtowca.

Ku jego zdumieniu, Kate nawet się nie poruszyła.

- Nie widzę ani nie słyszę żadnego frachtowca.

- Ale on tam jest - rzekł jakby od niechcienia, nie przestając pieścić jej włosów. - Obserwują nas z pokładu przez lornetki.

- Mam im pomachać?

- Z pewnością to docenią.

Kate uniosła leniwie rękę nad głowę. Natychmiast odpowiedział jej dwukrotny gwizd syreny okrętowej.

- O Boże! - Wyprostowała się gwałtownie, na co odpowiedziało kolejne wycie syreny, tym razem jeszcze bardziej entuzjastyczne.

- Mają dobry gust - zauważył Jack z szelmowskim uśmiechem, kładąc ręce pod głowę. Dziesięć dni wcześniej

Kate skuliłaby się w takiej sytuacji ze wstydu jak zwiędły kwiat. Teraz jednak śmiała się z całego incydentu, co sprawiło Jacka w dobry humor.

- Wystawiłeś mnie - stwierdziła z udaną pretensją w głosie.

- Sama powiedziałaś, że jestem tak samo nagi jak ty.

Nie odpowiedziała, lecz jej spojrzenie zdradziło mu, że szykuje zemstę. Po chwili wstała powoli i odwróciła się w kierunku frachtowca. Załoga statku zaczęła machać rękami i wiwatować na jej widok, a kilku marynarzy omal nie wypadło za burtę. Kate przyjmowała to wszystko ze spokojem. Jack nie dostrzegł nawet rumieńca na jej twarzy. Po dziesięciu, może piętnastu sekundach skłoniła lekko głowę i z dystyngowanym uśmiechem zeszła po schodkach pod pokład.

- Co zrobiła?

- Ukłoniła się! Jak brytyjska królowa na wyścigach w Ascot!

Nathaniel oniemiał, usłyszawszy tę wiadomość, a po chwili wybuchnął gromkim śmiechem, klepiąc Jacka po plecach. Jack również się śmiał.

- Potem - dokończył, kręcąc głową z niedowierzaniem - odwróciła się i zeszła pod pokład, jakby wybierała się na bal!

- Wiesz co, stary? - zarechotał jego przyjaciel. - Ona mi się podoba. Ma dziewczyna klasę. - Pokiwał głową z przekonaniem i dla uwydatnienia tych słów pociągnął solidny łyk piwa.

- Nigdy dotąd nie spotkałem takiej kobiety - przyznał Jack. - Mam wrażenie, że cały czas czekałem, żeby weszła na mój jacht.

Nathaniel przyglądał mu się uważnie, wreszcie powiedział:

- Krótko ją znasz, stary.

- Wystarczająco długo. Wierz mi.

Patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu, po czym Nathaniel znowu podniósł do ust butelkę.

- Nigdy nie mówiłeś takich rzeczy. Brzmi to poważnie.

- W istocie - odparł spokojnie Jack. - Zamierzam się jej oświadczyć.

- A co będzie z „Gwiazdą Karaibów”?

- Zajmę się nią, gdy tylko Kate zgodzi się za mnie wyjść.

Nathaniel znów przez chwilę milczał.

- Co mówi teraz?

- Wspominała coś o prawdziwej pracy i czekających ją obowiązkach.

- Ach, tak. - Nathaniel uśmiechnął się znacząco. - Słyszałem już kiedyś tę śpiewkę. Zdaje się, że swego czasu sam to najgłośniejsz powtarzałeś.

- Potrafię ją ocalić, Nathanielu.

- Postaraj się najpierw wyleczyć z własnych kompleksów, stary.

- Ona też może mnie uratować.

Zanim Nathaniel zdążył to skomentować, otworzyły się drzwi i do baru weszła Kate z jego żoną Lovey.

- Co tam, panowie? - zapytała ta druga. - Opowiadacie sobie niestworzone historie?

- Zgadłaś, moja droga - odparł Nathaniel, witając ją szerokim uśmiechem i szklanką ponczu.

Lovey dołączyła do stojącego za kontuarem męża i zaczęła natychmiast uprzątać ogromną stertę pustych butelek.

- Nawet na chwilę nie można zostawić was samych - westchnęła, lecz Nathaniel całkowicie ją zignorował.

- Powiedz mi - zwrócił się do Kate - co jest takiego w Detroit, czego nie mamy na wyspie Nevis?

- Przede wszystkim drużyna baseballowa - odparła, siadając za barem i biorąc od niego szklaneczkę z ponczem.

- Co mi po baseballu, kiedy tu mamy delfiny! Jack wspominał, że spotkaliście je dzisiaj w czasie rejsu.

Oczy Kate zapłonęły na wspomnienie tamtej chwili. Zawsze marzyła, by przeżyć coś takiego. Kiedy później nurkowali wraz z Jackiem w lazurowej wodzie, delfiny znów do nich przypląły. Udało jej się nawet dotknąć gładkiego, chłodnego grzbietu jednego z nich. Zatrzymał się na moment i przemawiał do niej, jakby byli starymi przyjaciółmi. Ciekawe, co chciał jej zakomunikować?

- W Detroit ich nie zobaczysz - stwierdził Nathaniel. - Chyba że jakiegoś nieszczęśnika zamkniętego w akwarium.

Kate zaśmiała się do staruszka.

- Trochę się spóźniłeś, Nathanielu. Jack próbował już i tego argumentu. Prawdę mówiąc, nie obiecywał mi jeszcze tylko czarodziejskiego źródła. Muszę jednak wrócić do rodziny - westchnęła. - Przynajmniej na razie. To jest... - przerwała nagle, wyraźnie czymś poruszona.

Jack natychmiast uniósł głowę znad baru.

- Co się stało, Kate?

- Jaki dziś dzień? - wyjąkała, rozglądając się wokół.

- Dwunasty - odpowiedziała Lovey. - Dwunasty lipca.

Kate zamknęła z przerażeniem oczy.

- O Boże! Zupełnie zapomniałam!

- O czym?

- Mój ojciec miał urodziny - wyznała skruszonym głosem, wyobrażając sobie staruszka, czekającego bezskutecznie na jej telefon. - Muszę do niego zadzwonić.

Kilka chwil później została sama w niewielkiej kuchni, próbując skoncentrować uwagę na cichym sygnale, który dobiegał ze słuchawki starego aparatu. Ojciec długo nie odbierał, wreszcie jednak usłyszała jego słaby głos:

- Kate? Czy to ty? - zapytał od razu z obawą i nadzieją, a jej serce natychmiast ścisnęło się ze wzruszenia.

- Cześć, tato - powiedziała, zaciskając z całych sił powieki. - Jak udały się urodziny?

- Dobrze, kochanie. Tęskniłem za tobą. Czekałem na telefon.

- Wiem, tato. Przepraszam.

- Kiedy wrócisz, Kate?

- Wkrótce, tato. - Echo tych słów utkwiło jej w gardle jak ość. Czowała, że się dusi. Jasne słońce przesłoniły chmury. Jej świat znowu zaczynał się kurczyć. - Posłuchaj, tato... Mam wspaniałe nowiny. Jest tu na wyspie człowiek, który chce sprzedawać moje obrazy. Czy to nie cudowne?

- Obrazy? Nadal się tym zajmujesz, moja droga? No dobrze. Od czasu do czasu możesz sobie malować.

Dławienie w gardle pozbawiało ją tchu. Była rozgorączkowana i czuła w środku pustkę. Tato, proszę cię, nie rób mi tego, błagała go w duchu. Znowu okradasz mnie ze złudzeń i nawet o tym nie wiesz!

- Kate?

- Tak?

- Szukał cię Harry Milton. Mówił, że wie o huraganie i że radzi ci wrócić do soboty, jeśli nie chcesz stracić dużych pieniędzy. Rozumiesz coś z tego, moja droga? Mam mu powiedzieć, że cię odnalazłem? Mogę mu dać twój numer telefonu? Nie chcesz chyba ryzykować utraty pracy...

Duże pieniądze? No tak, Harry dawał jej do zrozumienia, że ją zdemaskował. Wiedział, że się przed nim ukrywa i kłamie, by zyskać na czasie. Jeśli nie pojawi się w ciągu dwóch dni, da jej wymówienie, a ona straci wszystko: pracę, comiesięczną pensję, szansę na karierę. Nawet gdyby próbowała przyjechać kiedyś znowu na tę wyspę, nie będzie miała za co.

Poczuła nagle, że w chłodnej kuchni Nathaniela zaczyna brakować jej powietrza.

- Tato, co byś powiedział, gdybym...

- Kate? Bardzo słabo cię słyszę. Może porozmawiamy, kiedy wrócisz do domu? Zrobimy przyjęcie. Zostawiliśmy dla ciebie kawałek tortu.

Ogień w jej piersiach wygasł. Pozostała pustka.

- Dobrze, tato. Do zobaczenia w sobotę.

- I zadzwoń do Harry'ego. Upewnij się, czy w biurze wszystko w porządku.

Jack czekał na nią w ogrodzie. Zobaczywszy Kate wychodzącą z domu Nathaniela, wyprostował się i podszedł do niej zaniepokojony.

- Jak poszło? - zapytał.

Zaśmiała się gorzko i odwróciła wzrok.

- Wspaniale. Jeśli nie wyjadę jutro do domu, stracę pracę, a w efekcie szansę na karierę.

- Masz tutaj nowe perspektywy.

Kate przeszedł dreszcz. Uniosła twarz i spojrzała na niego załzawionymi oczami.

- Nie rozumiesz, że dostałam jedynie warunkową obietnicę pomocy od człowieka, któremu Sam jest zapewne winna przysługę?

Milczenie Jacka wystarczyło, by obróciła się na pięcie i odeszła.

Dogonił ją przy nabrzeżu. Starał się być cierpliwy. W krótkim czasie zmuszał Kate do zbyt wielu rzeczy, musiał więc liczyć się z tym, że dziewczyna w końcu się załamie. Nakłaniał ją, by wyrzekła się dobrowolnie wszystkiego, co w życiu zdobyła. Chciał, by uwierzyła obietnicom człowieka, którego znała zaledwie od jedenastu dni. Jeśli jednak nie wzbudzi w niej przynajmniej pragnienia, by otworzyć drzwi, przez które bała się przejść, Kate nigdy do niego nie wróci.

Widział, jak jej rozwiane włosy lśnią złocistym blaskiem na wietrze. Widział jej drobne ramiona i pragnął je

przygarnąć. Powzięła już decyzję, lecz on nie mógł się z nią pogodzić.

- Boisz się sięgać do gwiazd, prawda, Kate? Wpatrywała się w lśniącą powierzchnię morza, gdzie kolorowe łodzie kołysały się na falach jak wielkie mewy.

- Jest taka wspaniała sentencja, Jack. Chyba powiedział to Shaw. „Jeśli nie możesz zrealizować swoich marzeń, pilnuj, do cholery, tego, co masz.”

- I tak postępujesz?

Spojrzała na niego oczami, które lśniły jaśniej niż morze.

- Napisałam to zdanie na ścianie w łazience, żeby co rano je sobie powtarzać.

- Wolisz od razu się poddać niż ryzykować, że przegrasz?

- Zrozum, Jack - powiedziała zbolalym głosem. - Przez piętnaście lat uczyłam się żyć bez swoich marzeń. Nie chcę narażać się na nowe cierpienia. Mój świat jest tam, nie tutaj.

Podszedł do niej, ale nawet nie próbował jej dotykać.

- A nie zastanawiałaś się nigdy, Kate, co by było, gdybyś miała okazję zrealizować te marzenia? Może w razie porażki pozostałaby ci przynajmniej satysfakcja, że spróbowałaś? Twoje sumienie byłoby czyste, a tak...

Kate zachwiała się, jakby od silnego podmuchu wiatru. Jej oczy pociemniały.

- Myślę o tym codziennie - odparła w końcu cicho. - I mam wyrzuty sumienia.

- Masz też szansę, Kate. Być może ostatnią. Nie zmarnuj jej.

- Naprawdę chcesz, żebym tu została? - zapytała prawie szeptem. - Mam rzucić pracę, sprzedać samochód, opuścić mieszkanie i wysłać pożegnalny telegram do ojca, bo człowiek, którego znam od dwóch tygodni, obiecuje mi świetlaną przyszłość?

- Nie, Kate, nie dlatego. Bo ten człowiek cię kocha.

Nieoczekiwanie Kate przypomniała sobie artykuł z kolorowego tygodnika. Zdaniem psychologów - pisano w nim - ludzie mający do wyboru wygodne życie i wolność decydują się na to pierwsze. Teraz rozumiała dlaczego. Patrzyła w bezkresny błękit oczu Jacka - i była przerażona. Przecież jest już za późno, myślała. Musiałaby zrezygnować ze zbyt wielu rzeczy. Nie miała poza tym pewności, czy mimo solennych obietnic Jack jej nie opuści. Tak, za późno. Za późno na wolność, na ryzyko, na marzenia...

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał ostrożnie.

- Co? - Z jej oczu popłynęły nagle łzy. - Chyba najpierw się spiję.

Rozdział 8

- O Boże, Jack, czy ja mam kaca?

- Mhm.

Kate oparła się o ramię Jacka i z trudem otworzyła oczy. Może gdyby zdołała skoncentrować na czymś wzrok, zwalczyłaby te potworne nudności i zawroty głowy.

Ale nie. Nie było na to szans. Przez chwilę myślała, że oślepla. To kara, przyszło jej do głowy, zasłużyłam sobie na to.

Rzeczywiście, próbowała wypić w ciągu jednej nocy chyba tyle alkoholu, ile przypada rocznie na wszystkich mieszkańców wyspy Nevis. Zaczęła w domu Nathaniela, a skończyła w mieście, włócząc się po ulicach w towarzystwie połowy mieszkańców Charlestown. Dopiero Jack przywołał ją do porządku. Ostatnią rzeczą, którą pamiętała, był pijany tłum, odprowadzający ich do portu, gdy postanowili wrócić na jacht.

Teraz leżała w kajucie, z trudem dostrzegając w półmroku lampki zarysy sprzętów. Najważniejsze, że widziała w miarę wyraźnie małą łazienkę z prysznicem i muszlą klozetową, której mogła wkrótce potrzebować.

Usłyszała nagle jakiś przeciągły jęk. To zapewne jej żołądek protestował przeciw katuszom, na jakie go naraziła. Podobnie potraktowała zresztą swój mózg, który w ciągu nocy musiał dwukrotnie zwiększyć objętość i nie mieścił się teraz w jej czaszce.

Przynajmniej marzenia nie będą mi już dokuczać, pomyślała cierpko. Zaraz jednak ogarnął ją żal. Co ona zrobiła? Popsuła wszystko. Utopiła najcudowniejsze wspomnienia w alkoholu, by uśmierzyć ból i móc następnego dnia spokojnie wejść do samolotu. Spokojnie? A może w ośpieniu?

- Jack... - jęknęła słabo.

- Mhm?

- Pomóż mi.
- Jestem przy tobie, moja nimfo.
- Czy to jacht tak się kołysze, czy kręci mi się w głowie?
- Cholera - zaklął zamiast odpowiedzieć, a potem zerwał się na równe nogi.

Kate omal nie spadła z koi. Utrzymawszy z trudem równowagę, spojrzała podejrzliwie na Jacka.

- Co się stało?
- Załóż kamizelkę ratunkową - rzucił, wkładając szybko spodnie i koszulę. - I nie ruszaj się stąd - dodał, unosząc ostrzegawczo palec. Sięgnąwszy do szafki, wyciągnął dwie kamizelki ratunkowe i rzucił jej jedną z nich. Potem ruszył po schodkach na pokład.

- Jack! - zawołała za nim, lecz gdy otworzył drzwi, wiedziała już, co się stało. Na zewnątrz szalał sztorm. Ścisnęła kurczowo kamizelkę ratunkową i poczuła jednocześnie przerażenie i radość. - Huragan! - krzyknęła, wpatrując się z zachwytem w czarne niebo i ciesząc się jak dziecko zwolnione z lekcji. - To naprawdę jest huragan! Nie muszę wracać do domu!

- Uspokój się, Kate! - przykazał jej surowo. - Będziesz jutro pokarmem dla ryb, jeżeli nie założysz tej cholernej kamizelki. No, pospiesz się!

Jack był wściekły. Jak mógł dać się tak zaskoczyć? Do cholery, pływał zbyt długo, by nie zauważyć nadejścia sztormu. Powinien był przynajmniej usłyszeć komunikat w radiu. W końcu zaczął pić dopiero o siódmej wieczorem.

Chwytnąjąc się poręczy i masztów, dotarł z trudem do sterówki, gdzie był barometr. Wskazywał 29,1 i spadał na łeb, na szyję. Szlag by go trafił! Na szczęście wkrótce powinien być świt. Takielunek zaskrzypiał złowieszczo, kilka odważnych ptaków siedziało nadal na masztach, ale nagły poryw wichru zmusił je do kapitulacji. Wiatr miał siłę co

najmniej sześciu stopni w skali Beauforta i wiał prosto z południa. Kate nie myliła się. To był huragan.

Jack zamocował liny zabezpieczające i wciągnął na maszt fok. Stawianie większej liczby żagli przy takim wietrze byłoby samobójstwem. Jacht i tak wierzgał jak dziki ogier, wlokąc za sobą kotwicę, a wicher maltretował bezlitośnie żaglowe płótno. Trudno, teraz muszą zatoczyć szeroki łuk, wydostać się na pełne morze. Byli zbyt blisko brzegu, by próbować płynąć na północ. Szybko rozbiliby się o skały St. Kitts.

Gdy podniósł kotwicę, miał wrażenie, że odpadną mu ręce.

- Co się dzieje? - usłyszał, a kiedy podniósł wzrok, zobaczył przed sobą Kate. Trzymała się kurczowo liny ratowniczej. Mokre włosy przylepiły jej się do głowy, a koszula przylgnęła do szczupłego ciała.

- Kazałem ci zostać na dole!

Uśmiechnęła się i podniosła rękę, by odgarnąć włosy z oczu.

- Miałabym przegapić pierwszy w moim życiu huragan? Mogę ci w czymś pomóc?

- Zejdź pod pokład!

- Nie oczekuj, że będę siedziała w ciemnościach, nie wiedząc, co się z tobą dzieje! Powiedz, co mogę zrobić?

Przekreślił ster, chcąc zmniejszyć trochę napór wiatru na żagiel. Musiał uruchomić pomocniczy silnik i sprawdzić sonar. W morskiej kipieli nie było niczego widać.

- Zdołasz utrzymać ster?

- Pewnie!

- Przywiążę cię do niego.

- Fajnie! To mi się podoba!

Przywiązał ją szybko i położył jej dłonie na kole sterowym, a sam pobiegł w stronę silnika. Kate już po minucie zorientowała się, że popełniła błąd. Nie była w stanie

utrzymać steru, nawet z pomocą liny. Żywiół brutalnie wyrywał jej go z rąk za każdym razem, gdy jacht zapadał się w przepaść między falami. Przed dziobem co rusz wyrastała gigantyczna ściana wody, wiatr wył jak gromada obłąkanych zjaw, ogłuszając ją i zraszając skórę słoną wodą. Nigdy dotąd nie widziała takiej nawałnicy.

Dziękowała Bogu, że Jack przywiązał ją do steru. Każda fala rozbijająca się o pokład mogła porwać ją za burtę. Kilka z nich runęło jej na głowę i już to było wystarczająco przerażające. Najbardziej jednak bała się o Jacka. Widziała, jak idzie chwiejnym krokiem po zalewanym tonami wody pokładzie, trzymając się masztu i walcząc z żywiółem. Potem zniknął w kajucie.

Dobrze, że nie została pod pokładem. Czułaby się koszmarnie, siedząc tam w zamknięciu, nie wiedząc, co się dzieje i czy Jackowi nic nie grozi.

- Jak sobie radzisz?

Odwróciła się. Jack zdążył już wrócić i stanął za jej plecami. Miał pomarszczoną twarz, a z włosów spływała mu woda. Kate pomyślała, że teraz właśnie, walcząc z huraganem, kapitan Whelan jest w swoim żywiole. Jego dumna sylwetka, napięte mięśnie i wyraz determinacji w oczach sprawiły, że wydał jej się jeszcze przystojniejszy. Wiedziała, że takim właśnie go zapamięta.

- Wszystko w porządku - skłamała, napierając mocniej na ster, aby utrzymać kierunek.

- Zastąpię cię na kilka minut - zaproponował, uwalniając wreszcie jej ręce od nadludzkiego wysiłku. Przez chwilę bolały ją jeszcze bardziej, zaraz jednak poczuła obok siebie ciepło jego ciała i doznała ulgi.

- Myślałam, że mam ciężkiego kaca - stwierdziła, spoglądając na ołowiane chmury, które zdawały się zahaczać o maszt. - A to fale kołysały łodzią. Wygląda to groźnie.

Jack również wpatrywał się w niebo.

- Będzie mocno wiało - przyznał. - I nie przejdzie tak szybko.

- Oby.

Popatrzył na nią zdziwiony, a gdy wybuchnęła śmiechem, zdumiał się jeszcze bardziej.

- Chyba nie rozumiesz, Kate. Ten jacht może w każdej chwili pójść na dno. Razem z nami.

- Boję się - przyznała. - Ale nigdy w życiu nie byłam taka podekscytowana! - dodała, przekrzykując wiatr, który uderzył znowu w jacht z potężną siłą. - To niesamowite, fascynujące, piękne!

Jack nie mógł uwierzyć, że słyszy to z jej ust. Wyrażała jego własne odczucia. On też bał się sztormu, choć jednocześnie podniecała go walka z żywiołem. W takich chwilach, gdy jeden błąd lub po prostu zwyczajny pech mógł odebrać mu życie, gdy adrenalina wyostrzała zmysły do granic możliwości, strachu i podniecenia nie dawało się rozróżnić.

- Znowu twoja kolej! - krzyknął, całując jej wilgotne usta i myśląc, że Kate nigdy nie wyglądała tak pięknie. - Nie pozwól, żeby lina się urwała!

Kiedy sprawdził sonar, nie był już taki szczęśliwy. Huragan był silniejszy, a oni podjęli walkę za późno. Zabrakło im czasu, by wypłynąć na otwarte wody. Gdyby nawet nie sprawdził sonaru, na horyzoncie już majaczyły groźne skały St. Kitts. Tam właśnie spychał ich wiatr.

- Kate?

Znów stanął za nią. Odwróciła wzrok, a gdy go zobaczyła, nie musiał mówić nic więcej.

- Umiem pływać - zapewniła go szybko.

- To dobrze. - Uścisnął mocno jej rękę. - Gdyby co... pamiętaj, że cię kocham.

Pocałowała go w usta. Po twarzach spływała im słona woda, wiatr rozwiewał ich włosy.

- Ja też cię kocham, Jack - zapewniła go żarliwie.

Był moment, kiedy Jack sądził, że może im się uda, że miną o włos północno - zachodni cypel wyspy. Ale nagle zdarzyły się niemal równocześnie dwie rzeczy: pęknięcie steru spowodowało, że „Mandalay” obrócił się w kółko, a napięty do granic wytrzymałości żagiel nie wytrzymał dodatkowego naporu wiatru i rozerwał się z głośnym hukiem. Nim Jack zdążył zareagować, jacht osiadł na mieliźnie.

Kate rzuciło gwałtownie na burtę. Jacht znieruchomiał, wbity głęboko w dno, a rozszalałe fale uderzyły w przechylony kadłub. Rozglądając się w ciemnościach za Jackiem, czuła, jak ogarnia ją lodowaty strach. Strach i rozpacz. Co się z nim stało? Boże!

- SOS, SOS... „Mandalay” wzywa pomocy - usłyszała znajomy głos i jej serce znowu zaczęło bić równo i mocno. - Pozycja sześćdziesiąt dwa zero cztery, południowa strona wyspy St. Kitts. Wpadliśmy na skały. SOS...

Jack powtórzył komunikat trzy razy. Pokład w tym czasie znacznie się przechylił i drżał pod naporem wody. Kate nie mogła rozplątać liny, która wciąż ją trzymała, gdyż palce zgrabiały jej z zimna. Wiedziała, że zostało niewiele czasu. Jacht lada chwila mógł przewrócić się do góry dnem. Zastanawiała się, jak daleko są od lądu, wydawało jej się, że słyszy uderzenia fal o brzeg, lecz zdawała sobie sprawę, że może to być tylko złudzenie.

Nagle ujrzała nad sobą Jacka.

- Chodź, nimfo - powiedział ze spokojem. - Musimy odbyć małą podróż.

- Tak bardzo chciałam zobaczyć St. Kitts - odparła ze słabym uśmiechem, gdy jacht zatrząśł się znowu i jeszcze bardziej przechylił.

- Trudno o lepszy moment. - Uwolnił w końcu Kate z więzów i objął ją ramieniem. Popatrzył na nią i zaczął tłumaczyć, poważnie, spokojnie, z wiarą, że uda im się uratować: - Musimy dotrzeć do plaży, żeby nie rozbić się o skały. Fale będą nami trochę rzucać. Zachowaj spokój i trzymaj się mnie mocno. Jesteś gotowa?

Wiatr przez chwilę się nasilił i rozbity jacht zaskrzypiał złowieszczo. Spojrzeli na siebie z bezgraniczną szczerością, potem Jack wziął Kate bez słowa w ramiona i pocałował.

- Jesteś gotowa? - powtórzył.

Skinęła tylko głową i skoczyła za nim między fale. Na szczęście woda była ciepła. Prąd uniósł ich daleko od jachtu i po chwili „Mandalay” zniknął im z oczu. Kate trzymała Jacka za rękę, próbując zachować spokój i oddychać równym rytmem. Nie mogła jednak utrzymać głowy nad wodą. Kończyny miała jak z ołowiu i czuła ból w piersiach. Tylko dzięki mocnemu uściskowi Jacka posuwała się powoli w kierunku lądu.

Nie wiedziała, jak długo płynęli. W pewnym momencie ujrzała po prostu fale przyływu i wąski pasek plaży przed sobą. Fale były potężne i rozbijały się z furją o mglisty brzeg. Kate przemknęło przez myśl, że są niesamowicie piękne. Nie miała jednak czasu ich podziwiać. Znalazłszy się na grzbiecie jednej z nich natychmiast przekoziółkowała i zanurzyła się z głową w wodzie. Uderzyła nogami o śliskie, kamieniste dno. Gdy fale znowu ją obróciły, ostry piasek podrapał jej twarz. Odruchowo spróbowała wstać, aby złapać powietrze, i wtedy zorientowała się, że czuje grunt pod nogami.

Niestety, nie była w stanie iść. Posiniaczona, potłuczona, wyczerpana, natychmiast upadła, zwalona z nóg przez kolejną falę. I znów zahuczało jej w uszach, znów poczuła nieznośny ból w piersiach. Szarpnęła się ostatkiem sił. Musiała zaczerpnąć powietrza, musiała dostać się na brzeg. Nie miała

zamiaru utonąć u wybrzeży jakiejś wysepki trzy tysiące kilometrów od domu.

Nagle, bez ostrzeżenia, morze samo wyrzuciło ją na piasek. Poszybowała na grzbiecie fali jak pusta butelka po piwie i wylądowała na plaży. Zamknęła oczy. Nie musiała już walczyć.

Dopiero po kilku minutach zdała sobie sprawę, gdzie jest. Padał ulewny deszcz i nadal oblewały ją strugi wody. Liście palm śmigwały w powietrzu jak pociski artyleryjskie. Kolejna fala próbowała zmieść ją z powrotem do morza, Kate zdołała jednak odczołgać się w głąb lądu. Raptem zorientowała się, że jest sama. Przeraziło ją to jeszcze bardziej niż perspektywa śmierci.

- Jack! - zawołała z rozpaczą. - Jack, na Boga, gdzie jesteś!

Zerwała się na równe nogi. Potykając się i upadając, przeszukiwała wzrokiem piasek, fale, zarośla. I nagle go zobaczyła.

- Kate! O Boże, Kate! - zawołał i w jednej chwili znalazła się w jego ramionach.

Sztorm nadal szalał. Drzewa jęczały pod naporem wichru. Ale Kate i Jack, spleceni w mocnym uścisku, nie zwracali już na to uwagi.

- Jesteś cała? - Odsunął ją lekko od siebie, aby uważnie się jej przyjrzeć. Był tak samo posiniaczony i potłuczony jak ona, z rany na policzku spływała mu strużka krwi. Nigdy jednak nie wydawał się szczęśliwszy.

- Czuję się świetnie! - odparła. - Ależ to była frajda, Jack! Przejedźmy się jeszcze raz!

Słońce znów stało wysoko na lśniącym niebie. Łagodne poddmuchy wiatru wpadały przez otwarte okna. Powietrze przesycone było wilgocią i tropikalnymi zapachami. Za

soczyście zielonymi wzgórzami stał w zatoce zakotwiczony nowy żaglowiec z wymalowaną na burcie nazwą „Mandalay”.

- Nie czekałaś długo - stwierdziła rozpromieniona Sam, pomagając Kate wpiąć wianek z kwiatów w jej rozwichrzone, błyszczące włosy.

- Musiałam tylko doprowadzić się do porządku, żeby wyjść dobrze na zdjęciach - przyznała z uśmiechem Kate. Znowu ogarnęło ją podniecenie. To wszystko było takie dziwne. Kwiaty we włosach nosili hipisi, a nie przyszli maklerzy. Ale przecież postanowiła już, że nie będzie maklerem.

Uporządkowawszy włosy, wstała z krzesła. Prosta jasnozielona sukienka sięgała jej do kostek. Sam, ubrana w podobną sukienkę w kwiaty, przyjrzała się uważnie przyjaciółce. Jej uśmiech mówił sam za siebie.

- Wyglądasz jak...

- Sam! - przerwała jej Kate z wyrzutem w głosie. - Nie psuj mi wesela.

- No dobrze, i tak wiem swoje. Tak jak od początku wiedziałam, że w ten sposób się to skończy. Co cię właściwie skłoniło do powrotu na wyspę?

- Huragan i wodospad - odparła krótko Kate, podziwiając przez okno piękno słonecznego poranka. Sam spojrzała na nią zaskoczona, roześmiała się więc i dodała: - Pamiętasz, jak w drodze do Wodospadu Wielkich Alp spotkałyśmy pana Brennera? On nigdy już nie zobaczy tego wodospadu. Zwlekał zbyt długo. Siedząc z Jackiem na plaży, zdałam sobie sprawę, że nie chcę w wieku osiemdziesięciu lat być pozbawiona i wspomnień, i perspektyw. Jeśli nie skorzystam z nadarzającej się okazji, mogę tego żałować.

- Poza tym - dodała z przekonaniem Sam - kochasz przecież Jacka.

- Poza tym kocham Jacka.

- Bałaś się, że zginiesz podczas tego huraganu?

Kate pomyślała o długich, samotnych dniach w Detroit, gdy szykowała się do powrotu. Z początku sądziła, że wszystko wróciło w jej życiu do normy, nie potrafiła jednak zapomnieć o huraganie, o dzikiej, upiornej nocy, spędzonej u boku Jacka, kiedy to bała się, a jednocześnie czuła jak nigdy dotąd, że żyje. Żyje naprawdę, a nie udaje, że żyje. Dopiero gdy zrozumiała, że o tym nie zapomni, powzięła ostateczną decyzję.

Wysiadłszy z samolotu na wyspie St. Maarten, ożyła na nowo. A teraz, czekając na ślub, miała pewność, że to ożywienie nigdy jej nie opuści.

- Prawdę mówiąc - przyznała - w czasie tego huraganu świetnie się bawiłam.

Za ich plecami otworzyły się drzwi. Kate podniosła wzrok i uśmiechnęła się ze wzruszeniem.

- Jesteś gotowa, Kate? - zapytał siwy, pomarszczony i nieco przygarbiony staruszek o spojrzeniu zmaconym smutkiem.

Kate podeszła do ojca i wzięła go pod ramię.

- Tak, tato - oznajmiła - jestem gotowa.

Wiedziała, że bez względu na wszystko ojciec przybędzie na jej ślub. Przypomniła sobie raz jeszcze dzień, w którym stanęła przed nim, oznajmiając swoją decyzję. Siostry przekonywały ją wcześniej, beształy i straszyły. Ale ojciec, który w głębi duszy znał ją lepiej niż ktokolwiek z wyjątkiem Jacka, stłumił swój żal i dał jej wolność wyboru.

- Chyba już na nas pora - powiedział teraz. - Twój wybrany czeka na ciebie.

Jack zdobył jego względy, gdy przybył osobiście do Detroit, równie z maltretowany i posiniaczony co Kate, by oficjalnie poprosić Petera Maniona o rękę córki. A potem zaproponował mu, by zamieszkał na wyspie. Ojciec Kate

poszedł na kompromis, uznając, że byłoby całkiem przyjemnie spędzać na St. Maarten zimowe miesiące.

Spojrzała przed siebie i ujrzała przyszłego męża, stojącego między Nathanielem a miejscowym czarnoskórym księdzem. Chyba nigdy w życiu Jack nie był tak zdenerwowany. Miał chyba za ciasną koszulę, a kołnierzyk wyraźnie go uwierał. Wokół tłoczyła się cała załoga statku, połowa mieszkańców wyspy Nevis i większość obywateli Phillipsburgha. Zapewne przybyli, by zobaczyć na własne oczy coś, w co żaden z nich dotąd nie wierzył - jak kapitan Jack Whelan bierze ślub.

Gdy Kate szła ku niemu, wszyscy odwracali głowy, przyglądając się jej z podziwem i szepcząc między sobą. Zobaczyli to, co Jack widział w niej od początku: niezwykle blask, który wyróżniał ją w tłumie, włosy o barwie dojrzałego zboża, oczy błękitne jak niebo Karaibów.

- Wyglądasz, jakbyś wyszła z lasu - szepnął, kiedy stanęli obok siebie. - Jesteś wiotka i ulotna jak...

- Zamknij się - przerwała mu ze słodkim uśmiechem. - Masz powiedzieć tylko jedno...

- Co?

- Tak.

Niedługo potem oboje wypowiedzieli to słowo, pieczętując swą miłość nagrodzonym oklaskami pocałunkiem.